

SHERRYL WOODS  
Piękniejsze od marzeń

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Frank Chambers chodził tam i z powrotem po wąskiej sali szpitalnej, rozdrażniony jak wyrwany ze snu zimowego niedźwiedź, który nadal cierpi z powodu kolca wbitego w łapę. Popatrzył na zabandażowane ręce i zaklął tak, że jego matkę zatkałoby z oburzenia i smagnęłaby go ostro po obolałych dłoniach. Najchętniej by coś rozwalił, ale ostatecznie kopnął tylko z rozmachem krzesło, które przeleciało przez pół sali i rąbnęło w jasnoniebieską ścianę. Lecz to też nie zdołało poprawić Frankowi humoru. Matka jego, kobieta mądra i nie uznająca użalania się nad sobą, powiedziałaaby, że szkoda, iż nie złamał sobie palca u nogi.

Rozległo się ostrzegawcze skrzypienie drzwi, po czym ukazała się twarz zaniepokojonej pielęgniarki.

- Wszystko w porządku?

- Owszem, wspaniale - warknął.

Ponieważ widziała, że Frank chwilowo nie zamierza już niczym rzucać, zebrała się na odwagę i weszła do środka. Zbliżyła się sztywno do łóżka i splatając ramiona na piersiach stanęła w bojowej pozycji. Wyglądało to dosyć zabawnie, gdyż jej drobna postać nie zdołałaby go przestraszyć, gdyby nawet czuł się mniej pewnie.

- Powinien pan leżeć w łóżku - upomniała go i odrzuciła koc, by tym gestem poprzeć swoje stanowisko.

- Powiniennem być w domu. Nie jestem chory - powiedział całkiem ją lekceważąc.

- W pańskiej karcie choroby można wyczytać coś wręcz przeciwnego.

- Mam to...

Ona jednak nie zwracała uwagi na jego wulgarny język i nie przerywając sobie mówiła dalej:

- Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu uratowano pana z poważnego pożaru. Kiedy tu pana przywieziono,

zatruty był pan dwutlenkiem węgla. Badania krwi wcale nie wyglądają najlepiej. Na rękach ma pan poparzenia drugiego stopnia. Musi pan leczyć się w spokoju.

Nie po raz pierwszy wysłuchał wykładu na temat stanu swojego zdrowia.

- Muszę wrócić do domu - powtórzył z uporem i rzucił jej spode łba takie spojrzenie, jakie mogło wystraszyć nawet rosnącego mężczyznę.

Lecz na pielęgniarce nie wywarło żadnego wrażenia. Przewróciła tylko oczami i wyszła. Miał poważne wątpliwości, czy poszła załatwić wypisanie go ze szpitala. Poprzednie pielęgniarki też go nie słuchały. Cholera, gdyby matka poparła go, kiedy oponował, żeby nie zabierano go do szpitala, wszystko potoczyłoby się inaczej. A tak wylądował tutaj w zawrotnym tempie i zanim się obejrzał, już założono mu maskę tlenową. Potem chciał przekupić braci, żeby go stąd wyrwali, ale żaden nie dał się przekonać. Nawet młodsza siostra, która miała dobre serce, też się nad nim nie zlitowała. Tylko poklepała go po ramieniu i poprosiła pielęgniarkę z nocnego dyżuru, żeby w razie potrzeby przywiązała Franka do łóżka.

- I ty, Brutusie - mruknął, kiedy Karyn puściła do niego oko, odwróciła się, wzięła pod rękę nowo poślubionego męża i popędziła z nim na kolację.

Wszyscy Chambersowie traktowali go pobłażliwie i z dobroduszością. Tak mu dziękowali za długie lata, które poświęcił pomagając matce w wychowaniu pięciu braci i siostry. Kiedy zmarł ojciec, Frank niechętnie przejął jego rolę, sam miał bowiem dopiero siedemnaście lat, ale już wkrótce okazało się, że może jej podołać. Przedwcześnie dojrzał i wziął na siebie odpowiedzialność, lecz właściwie lubił czuć się potrzebny, lubił być ostoją dla dużej, kochającej się

rodziny. Kiedy więc rodzeństwo zaczęło się usamodzielniać i wyfruwać z gniazda, Frank przeżył to ciężko.

Ślub Karyn, która pierwsza opuściła mocno zżytą rodzinę, stał się dla Franka kolejnym sygnałem, że powinien pomyśleć o własnym życiu. W ciągu ostatnich lat tyle razy mówiono mu, żeby się nie wtrącał, że nie miał wyboru i musiał zacząć koncentrować się na sobie zamiast na rodzeństwie. No i właśnie tym się zajmował, aż do wczorajszego popołudnia. Niespodziewanie w wieku czterdziestu lat odkrywał, co to znaczy, kiedy spełnienie jego podstawowych potrzeb uzależnione jest od dobrej woli innych. I wcale mu to nie odpowiadało. Jaki mężczyzna by to zniósł? Nic dziwnego, że bracia ofukiwali go za ciągle udzielanie dobrych rad. Teraz mieli okazję w pełni mu się zrewanżować.

Noc ciągnęła się w nieskończoność, a Frank usiłował się uporać z nieprzyjemnymi faktami. Mówił sobie, iż bez problemu zniesie ból, przed którym ostrzegali go lekarze, iż będzie dawał się mu we znaki, kiedy odzyska czucie w dłoniach. Mógłby, do diabła, żyć nawet przez długi czas z widocznymi bliznami. Widział kiedyś takie blizny po oparzeniach i choć pamiętał, że nie były zbyt piękne, to przecież na jego spracowanych rękach prawie nie byłoby ich widać. Jediną więc rzeczą, jaka doprowadzała go do szału, było uczucie całkowitej bezsilności.

Przecież te grube warstwy bandaży na palcach będą mu uniemożliwiały wykonywanie najprostszycch czynności. Nawet nie będzie potrafił wziąć widelca ani odkręcić kranu, lub choćby się umyć. Podobnie z włączeniem telewizora czy trzymaniem w ręku książki. Nawet do łazienki nie będzie mógł iść sam. Jeszcze nie spotkało go w życiu nic tak upokarzającego. Równie dobrze mogliby mu obciąć te cholerstwa u nadgarstków.

I wszystko z powodu idiotycznego wypadku. Jedna chwila nieuwagi, tłący się niedopałek papierosa rzucony do kosza przez któregoś z bezmyślnych współpracowników i już cały warsztat stolarski stał w płomieniach. Kiedy Frank chwycił za gaśnicę, jej metalowa obudowa była już nieznośnie gorąca. Robił, co mógł, ale przecież wszystko dookoła było łatwopalne, tak więc miał uczucie, że walczy z ogniem piekielnym za pomocą węża ogrodowego. Zanim jednak ogień strawił wszystko, udało się Frankowi wynieść kilka rzeczy. Wrócił jeszcze po jednego ze współpracowników, któremu ogień zagroził drogę ucieczki. I wtedy, gdy był już na zewnątrz i wciągał łapczywie w płuca tlen, zauważył, jak poparzone ma ręce - skóra opalona do żywego mięsa, pokryta pęcherzami. Zawieziono go do szpitala, podczas gdy współpracownikowi trzeba było tylko podać tlen.

W szpitalu Frank dowiedział się, że i tak miał szczęście, bo mogło dojść do poważniejszych poparzeń trzeciego stopnia, które uniemożliwiłyby mu wykonywanie zawodu. A przecież był tak zdolnym, wysoko kwalifikowanym i twórczym stolarzem, że własnoręcznie przez niego wykonane meble trafiały do najlepszych domów San Francisco. Poparzenia drugiego stopnia dawały mu jeszcze szansę.

Rekonwalescencja będzie jednak długa, zmudna i bolesna. A on w życiu nie przechorował nawet jednego dnia. Teraz szykowały mu się długie wakacje, który to pomysł wcale mu nie odpowiadał. A jeszcze bardziej przerażała myśl o tym, że i tak już nigdy nie będzie potrafił wykonać delikatnych, skomplikowanych rzeźbień, dzięki którym jego wyroby charakteryzowały się prawdziwą klasą.

Myślał o tym wszystkim aż do rana i naprawdę ogarnął go strach. Nabrał powietrza w płuca. Każdy oddech sprawiał ból i bynajmniej go nie uspokajał. Czarne wizje życia bez pracy były przerażające.

Zdecydowany opuścić szpital, nawet gdyby miał samotnie z niego uciec, otworzył nogą szafkę, co okazało się łatwiejsze niż myślał. Ale natychmiast stracił całą nadzieję, bo w szafce wisiała tylko bluza. Zapewne osmaloną koszulę i dzinsy wyrzucono. Nigdy w życiu nie zdoła się przemycić przed stanowiskiem pielęgniarek, nawet nie da rady wyjść z tego pokoju w szpitalnym szlafroku i bluzie z ceną dyndającą jeszcze u rękawa.

Na stoliku nocnym zadzwonił telefon. Z prawdziwą wdzięcznością, że coś mu przerwało te okropne myśli, rzucił się go odebrać. Niechcący strącił aparat na podłogę. Dostał furii. Jak, u diabła, ma odebrać telefon palcami, które sterczą jak widły?

- Siostro! - wrzasnął zamiast nacisnąć na dzwonek. - Siostro!

Wpatrywał się w drzwi czekając, aż się otworzą, bo sam nawet tego nie potrafił zrobić. Wreszcie drzwi otworzyły się gwałtownie na oścież, a nie jak zwykle delikatnie centymetr po centymetrze. Zamiast pielęgniarki ujrzał rehabilitantkę Jennifer Michaels. Weszła do pokoju tak pewnym krokiem, że wiadomo było, iż złe humory i narowy pacjenta z pokoju 407 zupełnie nie zbiły jej z tropu.

Frank natychmiast ją rozpoznał. Zajrzała do jego pokoju wczoraj po południu, kiedy jeszcze był półprzytomny po zażyciu środków znieczulających, ale zapamiętał ten trzpiotowaty otwarty uśmiech i dziecinne loki. Zapamiętał też, że obiecała wrócić rano, by rozpocząć terapię.

- Czego pani chce? - spytał patrząc na nią podejrzliwie.

Lekceważąc wyzywający ton jego głosu rozejrzała się po pokoju, natychmiast zorientowała się w sytuacji i wyciągnęła telefon spod łóżka.

- Kiedy dobiegły nas pana... hm... wrzaski, byłam w pokoju pielęgniarek - oświadczyła.

- I padło na panią?

- I tak wybierałam się tu do pana. A jak ten telefon znalazł się pod łóżkiem? - spytała, jakby to nie było oczywiste.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, potem opuścił wzrok na swoje zabandażowane dłonie. Jeżeli oczekiwał litości czy zrozumienia, to nie okazała mu ani jednego, ani drugiego. Wzruszyła ramionami i odłożyła słuchawkę.

- Niektórzy ludzie uznaliby to za wymówkę. Frank popatrzył na nią ze zdumieniem. Znów rozległ się dzwonek telefonu. Wpatrywał się w aparat przeklinając w duchu swoją bezradność, aż w końcu cały gniew obrócił przeciwko rehabilitantce.

- Wynosić mi się stąd!

Tak wrzasnął, że aż dmuchnęło, ale szczupluka kobieta nadal stała w miejscu uparcie jak osioł. Frank po raz pierwszy poczuł dla niej odrobinę szacunku.

- Wydawało mi się, że chciał pan, by ktoś odebrał za pana telefon? - spytała słodziutko niewinnym tonem, w którym czuło się jednocześnie twardą jak stal pewność siebie.

- Sam sobie poradzę.

- Jak?

- A co to panią obchodzi?

- Gdyż będzie to pierwszy krok w pana rehabilitacji. Czekala. Frank był wściekły, każdy dzwonek telefonu jeszcze bardziej napinał mu mięśnie. W końcu aparat na szczęście zamilkł.

- No i w porządku - stwierdziła. - Czas zacząć rehabilitację. Lubię zaczynać od czegoś prostego.

- Może od pompek - rzucił z ironią.

- To możemy zrobić jutro - odparła nie zbity z tropu. - A teraz chciałabym pokazać panu, jak zacząć ćwiczyć te palce. Może pan powtarzać ćwiczenia co godzinę. Przez dziesięć minut.

- Nie interesuje mnie rehabilitacja. Chcę, by zostawiono mnie w spokoju.

- Proszę siadać - poleciała, całkiem nie zwracając uwagi na jego słowa. Wskazała ręką łóżko.

- Nawet niech się to pani nie śni - rzucił, gotów do kłótni, o której właściwie marzył od samego rana. Wszyscy dotychczas to wyczuwali i schodzili mu z drogi, ale nie Jennifer Michaels. Jej tak łatwo nie wystraszy.

- No więc proszę sobie stać - odparła nawet nie mrugnawszy okiem. - I wyciągnąć rękę do przodu. Pokażę panu, co robić.

- Czyli ja się nie liczę. - Cofnął się. - Nieważne, co ja chcę?! - huknął. - Nie dociera do pani? Nie będę robił żadnych ćwiczeń.

- To znaczy, chce pan, żeby ręce same się zagoiły? - Głos jej nawet nie zadrżał.

Frank zrozumiał, że pierwsze wrażenie, jakie zrobiła na nim Jennifer Michaels, było słuszne: twarda z niej sztuka. Zerknął na nią jeszcze raz. Wyraz jej oczu był nieprzejednany.

- Posłuchaj, dziecinko - zaczął, celowo ugodowym tonem. - Wiem, że musi pani wykonywać swoją pracę. Pewnie wyobraża sobie pani, że potrafi dokonać cudów. Ale mnie to nie obchodzi. Jedyna rzecz, na jakiej mi zależy, to żeby pozostawiono mnie w spokoju i jak najszybciej wypisano ze szpitala.

Słuchając tej tyrady Jennifer tylko raz się skrzywiła. Poza tym zachowywała spokój. Nie stoicki spokój. Nie udawany spokój. Po prostu spokój. Doprowadzało go to do szału. Podobny spokój malował się tylko na twarzach narkomanów czy wiernych śpiewających psalmy. W okolicach San Francisco widywało się wielu i jednych, i drugich.

- Mogłabym pana tu zostawić i niech się pan gorączkuje - powiedziała takim tonem, jakby naprawdę brała to pod uwagę.



- Wyszłabym oczywiście na marną rehabilitantkę, bo tym samym pozwoliłabym panu wyżywać się na innych.

- Napiszę pani usprawiedliwienie, włoży je sobie pani do papierów. Że pacjent okazał się oporny i nie chciał współdziałać. To chyba wystarczyłoby.

- Oczywiście, że by wystarczyło. - Przytaknęła ruchem głowy. - Widzę tylko jeden problem: jeżeli nie będzie pan wykonywał ćwiczeń rehabilitacyjnych, nie utrzyma pan pióra.

- Cholera, nigdy się pani nie poddaje? - Ruszył w jej stronę i stanął tuż obok, wysoki i potężny.

Jennifer przełknęła ślinę, ale nie ustąpiła ani o centymetr.

- Napiszę to usprawiedliwienie na maszynie. To na pewno potrafię nawet tymi palcami.

Utkwiła w nim spojrzenie swoich zielonych oczu i usiłowała go zmusić do odwrócenia wzroku. Ale, oczywiście, to jej się nie udało.

- Jak pan chce. - Wzruszyła ramionami.

Ruszyła w stronę drzwi. Frank nagle poczuł się dziwnie niepewnie. Właściwie, to przynajmniej miał z kim pogadać. Obrzucali się uszczypliwymi uwagami, co było lepsze niż siedzenie sam na sam z własnymi podłymi myślami.

- Wychodzi pani?

- Przecież tego pan się domagał. Mam pacjentów, którzy chcą jak najszybciej wyzdrowieć. Nie mam zamiaru tracić czasu na takiego, który się nad sobą użala. Może się pan nad tym wszystkim zastanowić i porozmawiamy potem.

Wpiła w niego niewzruszone spojrzenie zielonych oczu. Tym razem udało jej się zmusić go do spuszczenia wzroku. Odwrócił się. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, westchnął głęboko.

No, no, Chambers, tym razem zdecydowanie zachowałeś się jak kretyn, powiedział do siebie. Jennifer Michaels oczywiście da sobie z tym radę. Ta stanowczość w jej

spojrzeniu i absolutny brak współczucia w tonie głosu. Kiedy indziej zrobiłoby to na nim ogromne wrażenie, bo zawsze podziwiał odwagę i konsekwencję. Kiedy był w dobrym humorze, lubił rzucać uszczypliwe uwagi, jak przed chwilą, i wtedy uwielbiał, jeżeli rozmówczyni była dostatecznie zuchwała i potrafiła sprostać zadaniu. Jennifer okazała się osobą wystarczająco pewną siebie, by oszczędzać w słowach.

Zbiła go tym z tropu. Miał wątpliwości, czy nauczyła się tej techniki w szkole dla rehabilitantów. Musiał jednak przyznać, że odnosiła ona właściwy skutek. Przez pełne pięć minut nękało go poczucie winy. Potem przypomniał sobie, że w końcu jest pacjentem, a nikt go tu specjalnie nie rozpieszcza.

Zaraz mruknął do siebie, że właściwie to mu wcale na tym nie zależy. Co prawda, gazety rozpisywały się o nim jako o bohaterze, który uratował współpracownika. Z drugiej strony rodzina uważała go za lekko pomyłonego. Nie odpowiadało mu ani jedno, ani drugie. Jego zdaniem nie dokonał niczego szczególnie bohaterskiego. Nie miał też zamiaru wdziwiać włośiennicy tylko dlatego, że w szpitalu zachowywał się niezbyt sympatycznie. Miał do tego prawo. Przecież to naturalne, że czuje w brzuchu węzeł. To ze strachu. W końcu ręce ma poparzone, przyszłość zagrożoną. Jeżeli ma ochotę poużalać się nad sobą w samotności, to żadna smarkata rehabilitantka ani nie da rady go rozweselić, ani wyrobić w nim poczucia winy. Nawet sta z piegami na nosie, oczami jak spodki i jaskraworudymi loczkami.

Ku swojemu wielkiemu zdumieniu stwierdził jednak, że zaczyna go prześladować wspomnienie tej pogodnej osóbki o słodkim uśmiechu. Radzenie sobie z uciążliwymi pacjentami na pewno nie jest łatwe. Jak ona może temu podołać na co dzień? Jak długo potrafi przemilczać niegrzeczne uwagi, zanim zdecyduje się zacząć je odparowywać? Ile by tak

naprawdę wytrzymała, zanimby postanowiła się wycofać? W głębi duszy był jednak przekonany, że po tej krótkiej scenie z nim wcale się nie wycofała, tylko zastosowała taktykę odczekania i dania mu czasu, by wszystko sobie przemyślał.

Resztę dnia Frank spędził na chodzeniu po pokoju, wpatrywaniu się w drzwi i czekaniu. Kiedy drzwi się otwierały, cały zamierał. Na widok lekarza albo pielęgniarki odczuwał ulgę pomieszaną z rozczarowaniem.

W końcu, zmęczony, wgramolił się do łóżka. Czy mu się to podobało, czy nie, nie miał innego wyjścia, bo już wiedział, że nikt go szybko nie zwolni ze szpitala. Położył się na plecach i zaczął liczyć dziurki w zachlapanych wodą kaflach na suficie. Nagle otworzyły się drzwi. Nawet nie zadał sobie trudu, by zerknąć w ich stronę.

- Cześć, wielki bracie - rzucił Tim stając w nogach łóżka. - Jak to się dzieje, że nie latasz po korytarzach za pielęgniarkami? Sporo tu atrakcyjnych kobiet.

- Nie zauważyłem.

Najmłodszy brat Franka podszedł bliżej. Miał zatroskany wyraz twarzy. Położył Frankowi rękę na czole.

- Niemożliwe. A mimo wszystko żyjesz. Pewnie dym pomieszał ci zmysły.

- Odczep się od moich zmysłów. Nic ich nie pomieszało. Jedyne co się zmieniło, to to, że nie lubię, kiedy mnie ktoś dotyka.

- No to już lepiej - zachichotał Tim. - Wszystko szybciej się goi, kiedy człowiek trochę pożartuje. Powiem mamie, że już może cię odwiedzić.

- Jest tutaj?

- Wszyscy są. Czekają, aż im pomacham białą flagą.

- Wszyscy? - jęknął Frank.

- Tak. Przecież to ty nauczyłeś nas, że w trudnych czasach podróżuje się stadem. Przyszliśmy cię rozweselić. Nakarmić

cię. Pomóc wziąć prysznic. Z tym, że gdybym był na twoim miejscu, poprosiłbym którąś z tych cudownych pielęgniarek, żeby umyła mnie gąbką.

- Nie wątpię. - Frank uśmiechnął się ponuro.

- Wiem, że ty o tych rzeczach nie myślisz. Jesteś na to za święty. Za to ja jestem zwykłym śmiertelnikiem i uważam, że niekorzystanie z okazji to grzech. Jeżeli życie podsuwa ci cytryny, zrób z nich...

- Wiem. Lemoniadę. Jeżeli chcesz wiedzieć, to tobie życie podsunęło zbyt wiele okazji, do cholery

- zaczął głądzić, czepiając się znajomego i łatwego tematu.

- Jesteś jak pszczoła na łące. Cud, że nie powaliło cię jeszcze z wyczerpania.

- Czy wiesz, ile kobiet wsiada codziennie do autobusu? Czy chcesz, bym świadomie wybierał?

- Wiem tylko tyle, że powinienem kiedyś cię zmusić, byś w czasie tych studiów prawniczych dorabiał sobie strzygąc trawniki starszym paniom, a nie jako kierowca tego idiotycznego autobusu.

- Ciekaw jestem - Tim patrzył na niego zamyślony

- ciekaw jestem, czyby nie mogli zabandażować ci tu ust na kilka tygodni.

- To tobie by się to przydało i większości tutejszego personelu.

- No tak, twoja rehabilitantka miała rację.

- Rozmawiałeś z Jennifer Michaels? - Usiłował wyczytać z twarzy brata, jak mu się podobała rozmowa z nią.

- Można powiedzieć, że słuchałem jej. Ta kobieta terkoce jak karabin maszynowy. Ale też miała wiele do powiedzenia. Zalałeś jej za skórę, muszę stwierdzić. Jak to zrobiłeś? Próbowaleś ukraść jej całusa? Mama tam stara się ją uspokoić i przekonać, że w głębi serca jesteś dobroduszny, że nie jesteś bestią, którą należy skazać na zagładę.

- Wściekła się na mnie, bo nie chciałem wykonywać tych jej cholernych ćwiczeń.

- Ja bym tam chętnie sobie z nią poćwiczył. Jest lisicą.

Ta uwaga rzucona przez znawcę słabej płci z jakiegoś powodu zirytowała Franka.

- Trzymaj się od niej z daleka.

Przez twarz Tima przemknął złośliwy uśmieszek.

- Ha, wiedziałem. Oczywiście, że nie jesteś martwy.

Po prostu masz swoje wymagania. Ale naprawdę uważam, że dokonałeś świetnego wyboru.

- Nie dokonałem żadnego wyboru, do cholery.

- Rude są namiętne. Wiedziałeś o tym? - ciągnął Tim, jakby nie słyszał sprzeciwu brata. - Mają ogniste charaktery, no i w ogóle.

Frankowi przypomniało się, że Jennifer okazywała całkowity spokój.

- Myślę, że nasza rehabilitantka może być wyjątkiem potwierdzającym regułę. Nie da jej się wyprowadzić z równowagi.

- Czy rozmawiamy o tej samej kobiecie? Niespełna pięć minut temu powiedziała mamie, że jeżeli rano nie wygramolisz się sam z łóżka i nie zabierzesz do ćwiczeń, sama cię stąd wywlecze. Widać więc, że ma związane z tobą plany.

Frank po raz pierwszy poczuł się naprawdę poruszony.

- Chciałbym zobaczyć, jak mnie stąd wyciąga - mruknął groźnie. Prawda bowiem była taka, że rzeczywiście uprzytomnił sobie, na ile to mogłoby być interesujące. W każdym razie na pewno następna rundka z Jennifer rozproszyłaby trochę nudę. A może, gdyby wystawił jej cierpliwość na odpowiednio długą próbę, ujawniłaby swój ognisty charakterek, o którym mówił Tim.

Nie miał jednak zbyt wiele czasu na zastanawianie się, dlaczego ta perspektywa wydaje mu się interesująca, bo do pokoju wtargnęła reszta rodziny i wypełniła go gwarem, przekomarzaniami i żartami. Kiedy Frank przestał męczyć pozbawionego smaku kurczaka i tłuczone kartofle, do których zjedzenia zmusiła go siostra, oparł się o poduszkę i po prostu zasnął, ukołyszany szmerem znajomych głosów.

W nocy nie śnił mu się już pożar i przerażający ryk płomieni, tylko ognisty rudzielec, dziewczyna, która w jego ramionach stawała się naprawdę namiętna.

Kiedy po obchodzie omawiano kartę choroby Franka Chambersa, Jennifer poczuła, że tężeją jej mięśnie na karku i między łopatkami. Najpierw wypowiedzieli się lekarze i pielęgniarki, potem przyszła kolej na nią. Głosem absolutnie pozbawionym wyrazu wyrecytowała opinię na temat jego obrażeń i dodała, że odmówił poddania się rehabilitacji. Przynajmniej tak jej się wydawało, że mówi to tonem całkiem beznamiętym. W istocie jednak łatwo ją było przejrzeć na wylot.

- Mówisz o tym tak, jakby jego reakcja była wyjątkowa - zauważyła Carolanne, kiedy już odprawa się skończyła i prawie wszyscy wyszli z pokoju. - Przecież na początku prawie wszyscy pacjenci odmawiają rehabilitacji albo z powodu bólu, albo dlatego, że są przygnębieni, albo też nie chcą jeszcze uznać, że ich obrażenia są poważne.

- Wiem - westchnęła Jennifer. Dziesiątki razy sama wykladała to innym. - Mój mózg przyznaje, że jeżeli pacjent nie chce się poddać rehabilitacji, ja nie ponoszę za to odpowiedzialności, ale w głębi duszy nie mam spokoju. Czuję się tak, jakbym poniosła porażkę.

- Znowu to twoje wychowanie w katolickiej szkole z internatem. Przecież to wszechogarniające uczucie winy nie rozwinęło się w tobie w ciągu ostatnich miesięcy.

- Być może.

- A może to jest tak, że Frank Chambers ma w sobie coś specjalnego?

Jenny pomyślała o jego gniewnym głosie, silnych ramionach, płataninie uczuć, które wydawały się w nim kłębić. Potem przypomniały jej się oczy o zranionym wyrazie, który tak usiłował ukryć. Tak, oczywiście, ma w sobie coś specjalnego. Coś, czego nie miał od długiego czasu żaden pacjent - żaden mężczyzna.

- No więc, chyba mam rację? - spytała nalegając Carolanne. - Chcesz, bym ja zajęła się nim jutro? Mogę go przejąć.

Jenny zawahała się. Byłoby to niezłe wyjście, uciec, póki czas. Ale przypomniał jej się smutny i zagubiony wyraz tych wyzywająco niebieskich oczu.

Ponieważ potrafiła zrozumieć ten smutek i strach o wiele lepiej niż Frank czy nawet Carolanne mogli sobie to wyobrazić, powoli potrząsnęła głową.

- Nie - odezwała się w końcu. - Dzięki, ale ja będę się nim zajmowała.

Jakżeby mogła opuścić mężczyznę, który w tak oczywisty sposób jej potrzebuje? Nawet jeżeli on sam jeszcze o tym nie wie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Kiedy stąd wyjdę? - dopytywał się Frank.

Był rano, lekarz pochylał się nad bandażami pokrywającymi oparzenia. Nazywał się Nathan Wilding i był jednym z najlepszych specjalistów. Przekroczył już pięćdziesiątkę i słynął z bezgranicznego oddania chorym. Pojawiał się w szpitalu na każde wezwanie. Był niezwykle wymagający, od personelu żądał doskonałości, a kiedy odkrywał jakieś niedopatrzania, otwarcie okazywał swoje niezadowolenie. Ponieważ jednak od siebie wymagał równie wiele, wszyscy go szanowali, a chorzy uważali za półboga. Gazety San Francisco pisały o nim tak samo często, jak o najpopularniejszych sportowcach. Frank uważał, że naprawdę ma szczęście, skoro trafił pod jego skrzydła, ale jednocześnie wcale nie miał ochoty przebywać w szpitalu dłużej niż trzeba.

- Wtedy, kiedy na to pozwolę - wymamrotał Wilding, zdejmując delikatnie kolejną warstwę gazy. Patrząc teraz na okropne rany, skinał z aprobatą głową. Frankowi stan jego rąk wydawał się straszny.

- Czy będę mógł jeszcze kiedyś pracować? - spytał, wściekły na siebie, bo wiedział, że w tonie jego głosu słychać dławiący strach.

- Zbyt wcześnie teraz o tym wyrokować - odparł Wilding.

- Czy poddaje się pan rehabilitacji?

- Niespecjalnie - rzucił Frank, starannie unikając wzroku lekarza, bo domyślał się, że ten zna prawdę.

- Rozumiem - powiedział Wilding powoli i zawiesił głos, by zmusić Franka do spojrzenia mu w oczy.

- Myślałem, że zależy panu na tym, by mieć pełnosprawne ręce.

- Oczywiście, że mi zależy.



- To niech pan przestanie maltretować panią Michaels i zabierze się do roboty. Jest jedną z najlepszych specjalistek. Może panu pomóc, ale tylko przy pana współpracy.

- A jeżeli nie będę z nią współpracować?

- Wtedy nie mogę przyrzec, że będzie pan miał sprawne ręce. - Przyciągnął bliżej krzesło i usiadł.

- Jeszcze raz dokładnie panu powiem, o co chodzi. Pana obrażenia są poważne, ale możliwe do wyleczenia. Może nawet bez rehabilitacji zdoła pan w przyszłości utrzymać szklankę czy widelec, ale będzie musiał być dostatecznie szeroki.

Odczekał chwilę, żeby Frank miał czas się zastanowić. Wiedział, że słucha go z uwagą, zaczął więc mówić dalej:

- O ile wiem, jest pan rzemieślnikiem. Moja żona kupiła jeden z pana sekretarzyków. W czasach, kiedy dominuje masowa produkcja mebli i króluje imitacje drewna, fachowa artystyczna robota jest rzadkością. Liczy się w niej każdy szczegół. Jeżeli więc nadal pan myśli o delikatnych zdobieniach swoich mebli, to nie ma pan chwili do stracenia. Będzie pan wykonywał ćwiczenia z panią Michaels bez słowa sprzeciwu. Jest naprawdę świetną rehabilitantką i naprawdę proszę jej więcej nie obrażać.

- Poskarżyła się, że postąpiłem jak idiota? - spytał Frank oblewając się rumieńcem.

- Nie, nic mi nie mówiła.

- No więc napisała w mojej karcie.

- W karcie była wzmianka o tym, że nie chciał pan współpracować. - W oczach lekarza nagle zamigotał żartobliwy uśmiech. - I informacja, że to pan sam chciał, by tak napisano.

Lekarz zabrał się do nakładania nasączonej gazy na każdy palec z osobna.

- Niech pan posłucha. Wiem, że może pan być sfrustrowany i wściekły. To zrozumiałe. Też bym się czuł podobnie. Ale problem polega na tym, że jedyną przeszkodą na drodze do wyzdrowienia jest pański opór przed rehabilitacją. Jeżeli nie może pan znieść bólu teraz, niech pan poczeka jeszcze kilka dni, a dopiero wtedy pan zobaczy. Znienawidzi pan nas wszystkich. Każdego będzie pan posądzał o to, że chce zadawać panu tortury. Zrobi się pan nie do wytrzymania. Zanim więc to nastąpi, niech pan się tu przynajmniej zaprzyjaźni z kilkoma osobami. Pomożemy panu przez to przejść. Będziemy panu przypominać o tym, że ból minie. A pani Michaels dopilnuje, żeby ból nie zwyciężył w walce z panem i żeby pan nie zrezygnował ze swojego zawodu.

- Innymi słowy, najwyższy czas przestać się nad sobą użalać i zabrać się do roboty.

- No właśnie.

Ostatni raz takiego prostego i sensownego wykładu wysłuchał Frank jako nastolatek, kiedy też zaczęła dominować w nim chęć autodestrukcji. A było to po śmierci ojca, która go przerażała. Przerazała go też nagła konieczność wzięcia na siebie odpowiedzialności za rodzinę. Kiedyś o trzeciej nad ranem wkradł się pijany do domu, aż nagle z ciemności wyłoniła się matka, która zdzieliła go na odlew w twarz. Jak na tak drobną kobietę cios był owszem, owszem. Dzięki niemu zrozumiał, kto w domu rządzi. Matka po chwili wprowadziła go do kuchni i naląła tyle kawy, że można się było w niej wykapać. Frank marzył o tym, by się położyć i zapomnieć o wszystkim, lecz ona nie pozwoliła na to. Przemowa była krótka. Powinien się pozbierać i zacząć zachowywać jak mężczyzna. Siedział przy stole nie potrafiąc spojrzeć matce w oczy, żałując, że zadał jej nowy ból.

Po jakimś czasie matka przytuliła go przypominając o tym, że jedynymi ważnymi sprawami w życiu są rodzina, miłość i pomocna dłoń w trudnych chwilach. Na jej przykładzie nauczył się, co to oznacza, bo była istotą, która potrafiła dać drugiemu z siebie wszystko. Teraz coś mu podpowiadało, że Jennifer Michaels może być do niej podobna.

Od matki nauczył się więc, co znaczy miłość i odpowiedzialność, od ojca, co znaczy siła charakteru. Potrafił walczyć aż do ostatniego dnia, kiedy to udręczony bólem zmarł na raka. Frank zawstydział się, nagle uświadamiając sobie, jak sam się zachowuje od kilku dni. Postanowił się zmienić i zacząć współpracować z tą nieznośną małą rehabilitantką, kiedy znów się pojawi.

- Nie będzie już miała ze mną żadnych problemów - zapewnił lekarza. - Będę idealnym pacjentem.

Kiedy jednak drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich ponura Jennifer pchając przed sobą wózek inwalidzki, chęć współpracy z nią, niestety, opuściła Franka. Nawet nie miał czasu pomyśleć o tym, jak ona pięknie wygląda w szmaragdowej sukience, której kolor podkreślał blask jej oczu. Przygotowywał się bowiem do stoczenia - całkiem niespodzianie dla siebie również - kolejnej bitwy.

- A to po co?

- Czas na rehabilitację - oświadczyła zdecydowanym tonem, podjeżdżając wózkiem do łóżka. - Proszę wskoczyć, panie Chambers, pojedziemy na spacer.

- Zwariowała pani? Nie mam zamiaru na tym jechać! I co, może pani będzie to popychała? Z taką posturą? To ci heca! Nogi mam w porządku.

Cofnęła trochę wózek, żeby zrobić Frankowi więcej miejsca.

- No to niech pan rusza. Sala rehabilitacyjna jest w końcu korytarza. Daję panu pięć minut. - Obróciła się na pięcie i popychając wózek poszła w stronę drzwi.

- Coś mi mówi, że to nie ja mam dzisiaj niewłaściwą postawę - zauważył nie ruszając się z łóżka, na którym siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

Jenny puściła wózek, gumowe podeszwy jej butów popiskiwały na linoleum. Wzięła się pod boki, spojrzała na niego groźnym wzrokiem ciskającym iskry. Wczorajszy miękki i mroczny mech przerodził się nagle w szmaragdowy płomień.

- Cholera, moja postawa jest naprawdę w porządku. Jeżeli muszę się z panem potykać, żeby przekonać do zrobienia tego, co należy, dobrze, będę się potykać. Osobiście wolę być miła i pomocna, ale jeżeli potrzebna tu bójka, mogę się w nią wdać. Rozumie pan?

Frank poczuł, że się uśmiecha na myśl, że ona mogłaby się wdać w bójkę. Po kilku sekundach byłby z nią koniec. Ale jej notowania u niego wzrosły dzięki gotowości do walki. Po tym, jak ją potraktował wczoraj, uważał, że jest jej winien jedną rundę, z której pozwoli jej wyjść bez szwanku.

- Pójdę spokojnie - powiedział ugodowo.

Aż zamrugła ze zdumienia, a potem w jej spojrzeniu pojawił się wyraz ulgi.

- Świetnie - rzuciła uśmiechając się naprawdę ślicznie. Dla samego tego uśmiechu warto się było poddać. Frank poczuł, że gdzieś w głębi duszy topnieje, że zamiast zimna i uczucia samotności zalewa go fala ciepła.

- Zastanawiałam się, jak w razie oporu z pana strony wciągnę pana na ten wózek - wyznała.

- Dziecinko, nigdy nie wolno się do czegoś podobnego przyznawać - ostrzegł nakładając niezręcznie szlafrok. - Jutro,

na przykład, może mi przyjść do głowy, że będę stawiał pani opór, i już teraz wiem, że mi się to uda.

- Żartuje pan? - rzuciła natychmiast. - I tak pan o tym wiedział. Jest pan kilkanaście centymetrów wyższy ode mnie i waży ze trzydzieści kilo więcej.

- Czyli więc od początku pani blefowała?

- Niezupełnie. - Wskazała ręką na drzwi. - Za nimi czeka bardzo wysoki i silny sanitariusz. Takich jak pan podnosi jednym palcem.

- To tylko znaczy, że nie była pani aż taka pewna siebie, jak pani udawała.

- Powiedzmy, że dla mnie ważne jest i pierwsze wrażenie, i zapasowe wyjście - odparła pomagając mu w drodze do drzwi.

Na korytarzu oddała wózek sanitariuszowi, który rzeczywiście nie powinien mieć żadnych kłopotów z przemówieniem do rozumu mężczyźnie wzrostu Franka.

- Dzięki, Otisie. Ten wózek nie będzie nam potrzebny.

- Od razu byłem tego pewien - uśmiechnął się olbrzymi Murzyn. - Według mnie strzela pani pięćdziesiąt osiem punktów na sześćdziesiąt. Już nawet nie ma sensu się zakładać, kto wygra.

- Niezły wynik - zauważył Frank cierpko, kiedy szli korytarzem. - Nie miałem pojęcia, że rehabilitanci prowadzą listę swoich rekordów. Gdybym wiedział, że mogę zepsuć pani opinię, nie walczyłbym tak ostro.

- Otis to urodzony hazardzista. Usiłuję go przekonać, że istnieją lepsze miejsca niż tor wyścigowy, gdzie można roztrwonić swoje pieniądze.

- Teraz więc przyjmuje zakłady na panią?

- Mam nadzieję, że w końcu i to go znudzi. Chyba jest już bliski tego... - Zerknęła na Franka z nadzieją.

- Jak pan myśli?

A Frank zagubiony w jej wielkich zielonych oczach myślał o tym, że oto stoi przed niebezpieczeństwem daleko większym niż to, które zagraża jego rękom.

- Proszę pani, każdy mężczyzna, który zdecydowałby się zakładać o panią, musiałby być głupcem - wyszeptał.

Spojrzenia ich spotkały się, przez chwilę stali bez ruchu, aż w końcu ona przełknęła ślinę, zamrugła i odwróciła wzrok.

- Mam na imię Jenny - powiedziała cicho. - Możesz mi mówić po imieniu.

Frank skinął głową, uświadamiając sobie, że nagle zaczynają się porozumiewać nie tylko za pomocą słów.

- Jenny - powtórzył wyłącznie po to, by usłyszeć, jak jego usta wypowiadają jej imię. Było proste, nieskomplikowane, przeciwnie niż kobieta, która je nosiła. Podejrzywał, że w ostatnich dniach wiele razy nie miał racji. To fascynujące sprawdzić, na ile minął się z prawdą. - A ja mam na imię Frank.

- Frank.

Zatrzymali się przy zamkniętych drzwiach z tabliczką REHABILITACJA i pewnie by tam stali tak przez całe lata, gdyby nie Otis, który przechodząc obok zagwizdał i porozumiewawczo mrugnął do Jenny. Natychmiast oprzytomniała, otworzyła drzwi, wskazała krzesło.

- Siadaj. Zaraz wrócę.

Frank wszedł do pomieszczenia, w którym pełno było zwykłych, używanych na co dzień przedmiotów: od słoików po szczoteczki do zębów, od nożyczek po wielkie ołówki. Nie bardzo wiedział, czego właściwie oczekiwał, ale na pewno nie takiego składziku z przyborami. Zahaczył nogą o krzesło i odsunął je od stołu, aby móc na nim usiąść. Popatrzył sceptycznie na wyposażenie pokoju. Był pewien, że rehabilitacja będzie kosztowna i pochłonie większą sumę z

ubezpieczenia. A właściwie za co tu płacić? Za to, że pobawi się szczoteczką do zębów? Znow odechciało mu się współpracy.

- Co to wszystko jest? - spytał, kiedy weszła Jenny.

- Rehabilitacja zaawansowana - odparowała. - Przy odrobinie szczęścia i dzięki ciężkiej pracy będziesz mógł jej się poddać za jakiś tydzień czy dwa.

- Chcesz powiedzieć, że dopiero za dwa tygodnie będę mógł umyć zęby? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Myślałem, że jesteś w tym dobra.

- Jestem dobra. Ale to ty jesteś pacjentem. Dwa tygodnie. Może i dłużej. Bandaże będziesz nosił przez trzy tygodnie. Uważasz, że dasz radę wcześniej?

Trudno było uniknąć takiego wyzwania.

- Daj mi szczoteczkę.

- Sam sobie weź.

Sięgnął ręką przez stół i usiłował chwycić szczoteczkę. Udało mu się to zrobić obiema rękami, kiedy zsunął ją na krawędź stołu i o mało nie spadła. No, przynajmniej refleks mu nie ucierpiał.

- No, a co teraz? - spytała Jenny z zaciekawieniem. Ta kobieta tylko czeka na moją porażkę. Już ja jej pokażę. Ustanowię nowy rekord. Ścisnął mocniej szczoteczkę między dłońmi i próbował podnieść ją do ust.

- Musisz mi się przyglądać przez cały czas? - wymamrotał. Z czoła ciekł mu pot.

- No pewnie. Wściekły, że jednak nie udaje mu się manipulować szczoteczką i że Jenny się temu przygląda, rzucił przyborem.

- Mam dość.

- A może razem nad tym popracujemy? - zaproponowała łagodnie.

Najpierw spojrział na nią spode łba, ale kiedy nie umknęła przed jego wzrokiem, powiedział:

- Dobra, niech będzie. Ty wydajesz komendy. Co najpierw?

Usiadła obok, tak blisko przysuwając krzesło, że czuł delikatny wiosenny zapach jej perfum.

- Zaczniemy od zginania ci palców. Za pierwszym razem ja ci pomogę, dobrze? To się nazywa bierne ćwiczenia.

- Rób, co chcesz. - Wzruszył ramionami.

Wzięła jego rękę w swoją z zadziwiającą delikatnością. Frank przeklął swój los, bo przecież nie mógł nawet czuć jej pieszczot. Ale wyobraźnia pracowała. Zastanawiał się, czy skórę ma tak gładką, jak na to wygląda. Czy pod dotykiem jego palców byłaby aksamitna jak płatek róży. Tak był zajęty swoimi myślami, że nawet nie widział, co ona robi.

- Teraz ty spróbuj.

- Coo?

- Frank, w ogóle nie uważałeś? - Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Byłem zajęty swoimi myślami.

Jeżeli nawet przyszło jej do głowy, o czym myślał, niczym się nie zdradziła, nie okazała najdrobniejszego zmieszania. Wzięła do ręki jego drugą dłoń.

- No to teraz postaraj się uważać - rzuciła zaczynając wyginać mu po kolei palce.

Ruchy ich były nieznaczne. Frank nie mógł uwierzyć, że Jenny uważa to za wystarczające ćwiczenie, lecz zarazem wiedział, że bez jej pomocy nie jest w stanie zrobić nawet tyle. Potrzebował jej, żeby poruszała za niego palcami - i ta świadomość była mu nienawistna.

- Tylko tyle? - burknął, kiedy skończyła. - Tak sobie wyobrażasz rehabilitację? Po to mnie przyciągnęłaś aż tutaj?



- Mogło się to odbyć w twoim pokoju, ale wczoraj nie chciałeś tam wykonywać ćwiczeń, pomyślałam więc, że tutaj może potraktujesz to bardziej poważnie. Po prostu przypomnij sobie to stare przysłowie, że zanim zaczniesz biegać, musisz nauczyć się chodzić.

- To na ogół odnosi się do dzieci.

Jenny położyła mu rękę na przedramieniu i popatrzyła na niego z uwagą. W jej oczach było współczucie i zrozumienie.

- W tym wypadku możesz uważać, że twoje ręce to ręce niemowlęcia. Masz odruchy, ale nie umiesz ich kontrolować. Teraz usiłujemy zapobiec usztywnieniu stawów i zachować elastyczność skóry.

Franka nie interesowały małe kroczki, chciał natychmiast zrobić ogromne postępy.

- Muszę się po prostu doczekać zdjęcia opatrunków. Wtedy już wszystko mi się uda.

- Oczywiście, że ci się uda, jeżeli teraz będziesz wykonywał ćwiczenia co godzinę przez dziesięć minut. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Chcesz, bym cię odprowadziła do pokoju czy wezwała Otisa?

- Dam sobie radę. Nogi mam zdrowe.

- Wpadnę potem sprawdzić, jak się, czujesz.

Jej oficjalny ton i wzrok utkwiony w jego karcie choroby, w której coś zapisywała, zirytowały Franka. Poczul się po prostu odprawiony z kwitkiem. Już miał dać wyraz swemu niezadowoleniu z całej formy rehabilitacji, kiedy otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Otis z pacjentką na wózku.

Była to nastolatka. Bandaże pokrywały ponad pięćdziesiąt procent jej ciała. Widać było tylko połówkę jej twarzy i jedno ramię. Na widok Jenny jednak starała się uśmiechnąć. Franka aż skreśliło ze współczucia.

- Cześć, Pam, jak leci? - spytała Jenny uśmiechając się ciepło.

- Nieźle. Właśnie wygrałam z Otisem w pokera. Musi wyjść i kupić mi na lunch hamburgera i frytki.

- Myślałem, że to nasza tajemnica. - Otis pochylił się nad nią i posmutniał.

- To dla ciebie nauczka, wielkoludzie - zaśmiała się Jenny.  
- Między rehabilitantem a pacjentem nie może być niedomówień. Ale skoro i tak idziesz po zakupy, mnie też możesz przynieść hamburgera.

- Te kobiety! Puśćcie mnie z torbami! - rzucił, szeroko się uśmiechając, i wyszedł.

Przez kilka minut Frank przyglądał się współpracy Jenny z nastolatką. Irytowało go to, że były ze sobą na tak poufalej stopie i bez przerwy się śmiały. Zazdrościł im tego, że mają takie ciepłe stosunki. Poczul się jeszcze bardziej samotny niż zwykle, wymknął się więc z pomieszczenia i poszedł do swojego pokoju.

Późno w nocy, wciąż nie mogąc zasnąć, usiłował choć odrobinę poruszać palcami. Nie był pewien, czy próbuje udowodnić coś sobie... czy Jenny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jenny miała już do czynienia z trudnymi, broniącymi się przed przyjęciem pomocy pacjentami, tak że Frank Chambers nie był pierwszym, ale też jednym z najtrudniejszych. Teraz bardziej niż odniesione poparzenia dokuczała mu zraniona duma. Był przyzwyczajony opiekować się innymi, rodzina więc twierdziła, że trudno mu będzie znieść własną zależność, nawet tymczasową.

Pewna rehabilitantka z Miami mówiła jej kiedyś, że pacjent, który zanim uległ wypadkowi i doznał poparzeń, odnosił w życiu sukcesy, po leczeniu również będzie miał twórczy stosunek do życia. A Frank, mimo że na początku zachowywał się gburowato, też wyglądał na mężczyznę, któremu się w życiu powiodło. Teraz więc musi mu o tym przypomnieć. Musi pomóc mu przejść przez okres buntu i strachu i wzbudzić w nim zainteresowanie szybkim wyzdrowieniem. Prędzej czy później Frank sam zrozumie, że dążenie do zdrowia to jedyne wyjście.

Na szczęście Jenny nigdy w życiu się nie poddawała. Tu, w tym szpitalu, udało jej się przezwyciężyć własne dręczące ją demony i na podstawie różnych doświadczeń wiele się nauczyła. Czasami przejmowała pacjentów, których innym rehabilitantom nie udało się skłonić do współpracy. Ona jednak, wiedząc, jak łatwo jest popaść w rozpacz, robiła wszystko, by tych pacjentów odwieść od autodestrukcji.

Wczorajszy podstęp z wózkiem udał się. Pozwoliła Frankowi, aby jej udowodnił, że wcale tak źle z nim nie jest. Wygrała pierwszą rundę. Mimo to odniesione zwycięstwo nie miało jeszcze trwałych podstaw. Dzisiaj czeka ją trudniejsze zadanie. Frank bowiem będzie oczekiwał cudów i jeżeli przez noc nie zrobił żadnych postępów, uzna, że rehabilitacja to strata czasu, a ona, Jenny, jest po prostu naprzykrzającym się intruzem.

Pomyślała więc, że może dobrze by było wysłać po Franką Otisa. Potem jednak uznała to za tchórzostwo. Poszła więc sama, ale wzięła wózek.

Wpadła do pokoju akurat w chwili, kiedy taca ze śniadaniem Franka lądowała na podłodze. Udało jej się chwycić karton z mlekiem. Od razu zabrała się do zbierania reszty. Frank był bardzo z siebie niezadowolony.

- Cześć, wiem, że szpitalne jedzenie to nic specjalnego, ale to chyba nie powód, by nim rzucać o podłogę - zauważyła neutralnym tonem, kiedy Frank podniósł się z łóżka i szedł do okna.

- Nie miałem o tym pojęcia - mruknął odwrócony do niej plecami.

Włosy miał zmierzwiłone, nie potrafił sam się uczesać. Jej wydawało się to jednak bardzo interesujące. Aż wsunęła ręce do kieszeni, żeby zapanować nad pokusą dotknięcia tych włosów i uporządkowania. Cień na nie ogolonych policzkach też był kuszący, w niezwykle sposób dodawał Frankowi męskości. Jenny z trudem udawała, że tego wszystkiego nie zauważa.

- Mogłeś poprosić o pomoc - zauważyła łagodnym tonem.

- Do diabła, kobieto, przecież nie jestem dzieckiem. Nie trzeba mnie karmić.

- Nie jesteś dzieckiem, ale teraz zachowujesz się jak dziecko. Zostałeś poparzony, ale nie unieszkodliwiony na całe życie. Co złego widzisz w fakcie, że ktoś chce ci pomóc w tym trudnym okresie. Potem sam będziesz sobie dawał radę.

- Ale kiedy to będzie?! - huknął na nią. - Wykonywałem te twoje idiotyczne ćwiczenia.

- Zacząłeś dopiero wczoraj.

- Ale to nic nie dało - upierał się. - Nadal nie potrafię nawet otworzyć głupiego kartonu z mlekiem.

- No dobrze, ale tak naprawdę, czy lubisz letnie mleko?

- Nie - przyznał. - Nie znoszę.

- To o co ci chodzi?

Spojrzał na nią spode łba, lecz w jego oczach można też było dostrzec cień rozbawienia. Natychmiast jednak odwrócił się i znów zaczął gapić się w okno.

- Chodzi o zasadę.

- Jaką zasadę? Chyba idiotyczną.

- A co ci do tego?

- Lubię dzielić się z kimś własnym zdaniem. Powiedzmy więc, że nie jestem skąpa.

- To dziel się z kimś innym. Z tym, kto sobie tego życzy. Jestem pewien, że tylko na tym korytarzu jest co najmniej dziesięć miejsc, w których z zachwytem powitają poglądy Świętej Jennifer.

Trafił w dziesiątkę. Nie po raz pierwszy oskarżano ją o to, że wtrąca się w nie swoje sprawy. Cóż, taki ma zawód. Niemniej jednak musiała naprawdę się powstrzymać, żeby nie odparować tego niemiłego stwierdzenia.

- Myślę, że gdybyś zjadł śniadanie, byłbyś w lepszym humorze. Jeżeli przestaniesz na mnie warczeć, poczęstuję cię w sali rehabilitacyjnej pączkami i kawą. Gwarantuję, że niczego nie będziesz musiał otwierać. A pączki są świeże, kupiłam je po drodze do szpitala.

- Chyba próbujesz mnie przekupić, żebym jednak poddał się rehabilitacji? - W końcu odwrócił się w jej stronę.

- Po prostu próbuję coś zrobić, by ci się poprawił humor. Zresztą dla dobra całego personelu na tym piętrze. Chodź.

- A mam inne wyjście? - spytał od niechcienia, a w niebieskich oczach, z których dopiero co wyzierało poczucie porażki i zniechęcenia, pojawiły się psotne chochliki.

- Oczywiście, że tak, ale musisz wiedzieć, że za drzwiami czeka wózek.

- A Otis?

- W każdej chwili można go zawołać, ale dzisiaj chyba mi nie będzie potrzebny. - Patrzyła na niego wyzywająco. On przyjął to wyzwanie i dokonywał w duchu wyboru. Nacisnęła więc mocniej: - Idziesz więc czy nie? Mam paczki z marmoladą i czekoladą. Jeden nawet z marmoladą jabłkową.

Pokusa zwyciężyła upór, Frank nie stał już tak sztywno. Prawdopodobnie uwielbia paczki.

- Umiesz się znęcać nad człowiekiem - mruknął wychodząc za nią z pokoju.

- Przyganiał kocioł garnkowi. No więc, co wybierasz: z marmoladą, czekoladą czy jabłkiem?

- Z marmoladą, oczywiście. Pewnie zauważyłaś, jak mi pociekła ślinka na samo wspomnienie o niej?

- Tak, wyraźnie czułam, że nie rzucam słów na wiatr.

- Dlaczego to robisz? - spytał, kiedy szli korytarzem.

- Dlaczego kupuję paczki?

- Wiesz, co miałem na myśli - rzucił, niechętnie witając unik z jej strony.

- Płacą mi za to.

- Już to mówiłaś, ale mnie interesuje coś innego. Dlaczego ktoś wybiera zawód, którego wykonywanie naraża go na tyle nieprzyjemności ze strony takich okropnych pacjentów jak ja?

- Może jestem masochistką.

- Nie sądzę. Powiedz mi prawdę, Jenny Michaels. Ponieważ w jego oczach dostrzegła prawdziwą ciekawość, postanowiła odpowiedzieć szczerze.

- Czasami z innych względów.

- I to istotnych, co? - Skinął głową ze zrozumieniem.

- I to istotnych. - Uśmiechnęła się widząc, jak czyta w jej myślach.

- Więc te nieistotne przypadki przegrywają? Jenny natychmiast otrzeźwiała. Gra słów bywa niebezpieczna.

Niektórzy pacjenci przegrywają zupełnie niezależnie od jej oddania ich sprawie.

- Czasami, ale z zupełnie innej przyczyny.

Sala rehabilitacyjna pełna była słońca. Jenny położyła na talerzyku dwa pączki i naląła Frankowi filiżankę kawy. Przysunął sobie nogą krzesło. Usiadła przy nim i zachęciła, żeby jej opowiedział coś o sobie. Kiedy mówił, zaczęła go karmić, czego jakby nawet nie zauważył. Kilka razy musnęła palcami jego usta, a wtedy przeszywał ją prąd. Wydawało się, że tego również, na szczęście, nie zauważa.

- Kiedy więc byłeś jeszcze chłopcem, najmowałeś się do różnych robót, żeby pomóc matce utrzymać tych przystojniaków, których poznałam?

- Uważasz, że są przystojni? - spytał patrząc na nią podejrzliwie. - Wszyscy?

Skinęła głową bawiąc się tym, co niespodzianie odkryła: tym, że może być zazdrosny.

- Jeden z nich wyglądał naprawdę na czarusia. Jak ma na imię? Tim?

- Chyba jest trochę za młody dla ciebie - rzucił kwaśno, mrużąc oczy.

Zachichotała, bo na jej przekomarzanie odpowiedział z taką podejrzliwością.

- O kogo ci właściwie chodzi? O niego czy o mnie?

- Postanowiła nie wymieniać trzeciej osoby, czyli jego samego.

- O ciebie. Tim już dawno temu nauczył się sam dbać o swoje życie towarzyskie. Zresztą ma je bardzo urozmaicone.

- A ty?

- Niespecjalnie urozmaicone, zwłaszcza ostatnio.

- Miał zmieszana minę.

- A dlaczego? Jesteś z nich wszystkich najprzystojniejszy.

Żeby uzyskać pożądany efekt, na ogół nie cofała się przed mówieniem komplementów, lecz w tym wypadku było to właściwie zbędne. Bo Frank Chambers, kiedy nie wpadał we wściekłość na cały świat, naprawdę miał o sobie dostatecznie dobrą opinię i wiedział, że jest mężczyzną silnym, na którym kobieta może się oprzeć. Poza tym wszystko, co Jenny słyszała o nim od rodziny pełnej podziwu dla niego, potwierdzało to jej odczucie. Znalazła jeszcze inne argumenty - jego lekko garbaty nos, silny i ostry zarys szczęki i zdumiewająco niebieskie oczy - które świadczyć mogły o celności jej oceny. Zawsze wolała ten typ mężczyzny od gładkiego superwykształconego lalusia w modnej koszuli, skorego do głupkowatych uśmieszków. W wypadku Franka czuło się jego wewnętrzną siłę, czuło się, że pod tą szorstką powłoką znaleźć można prawdziwy brylant, a to jeszcze tylko dodawało mu męskości.

- Jestem zdumiona, że jeszcze cię nie porwała żadna kobieta - powiedziała szczerze, zastanawiając się, dlaczego tak się cieszy z tego, że on jest wolny. Przecież nigdy nie wiązała się uczuciowo z pacjentami. Ostatnio w ogóle nie angażowała się uczuciowo. - Na pewno jesteś oswojony. Na przykład, zmywasz naczynia - dorzuciła lekko i żartobliwie.

- Skądże znowu. Tylko wtedy, kiedy nie mam innego wyjścia. To chyba jedyny plus posiadania tylu młodszych braci i siostry. Kiedy byłem młodszy, moja kolej na zmywanie wypadła mniej więcej raz na tydzień. A kiedy już naprawdę chciałem i tego uniknąć, najmowałem się w tym czasie do strzyżenia trawników albo płaciłem komuś z rodzeństwa. Na przykład, Karyn zarobiła u mnie za zmywanie więcej niż kiedykolwiek za pilnowanie dzieci.

Nagle spojrzął na pusty talerzyk i filiżankę. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

- Jak to zrobiłaś?



- To wyłącznie kwestia techniki. - Uśmiechnęła się.
- Takie kuglarskie sztuczki udają się tylko na scenie.
- Przecież sama to wszystko zjadłam.
- Nieprawda.
- No to, jak to się stało?

I zanim się spostrzegła, przysunął krzesło jeszcze bliżej, wyciągnął rękę i przesunął zabandażowanym palcem po jej wargach. Gaza załaskotała, lecz mimo to dziewczyna nie zareagowała śmiechem. Odczuła ten dotyk bardzo mocno.

- Ani śladu marmolady. Ani śladu cukru pudru - powiedział cicho. - Naprawdę szkoda.

- Dlaczego? - spytała drżącym głosem, bo Frank patrzył na nią w szczególny sposób.

- Bo mógłbym spróbować, czy na tobie smakują jeszcze słodziej.

Puls Jenny zaczął gwałtownie przyśpieszać. Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. Zalała ją niespodziewana fala uczuć, musiała szybko się pozbierać.

- Wciąż coś nas odrywa od zajęć - wymamrotała po części do siebie. Usiłowała mówić bardziej energicznie, choć wciąż czuła jego dotyk. - Cała ta nasza rozmowa opóźniła rozpoczęcie ćwiczeń. Zabierzmy się do roboty. Zrób coś trochę trudniejszego. Spróbuj powyciskać tę szmatkę.

Podawała mu kawałek materiału złożony w prostokąt i z niewypowiedzianą cierpliwością zacisnęła na nim jego palce. Jeszcze sporo dni upłynie, zanim będzie potrafił zacisnąć dłoń do końca.

Oczywiście, że Frank nie rozumiał, na czym polega trudność, bo po chwili rzucił jej spojrzenie pełne wstrętu do samego siebie.

- To łatwe dla dwulatka.
- Tym bardziej więc dla ciebie.

Celowo odwróciła się od niego, usiadła za biurkiem i zajęła się papierami. Rzucił coraz gorsze przekleństwa, aż w pokoju zrobiło się naprawdę duszno, lecz Jenny ani mrugnęła,

- Postępujesz tak dlatego, żeby mnie złamać - wymamrotał w końcu.

Spojrzała na niego, na bruzdy na czole, i zdecydowała się odezwać.

- Panie Chambers...

- Mam na imię Frank, do cholery!

- Frank... - powtórzyła, pokrywając własną irytację spokojem. - Ciebie nie mógłby złamać nawet najostrzejszy ujeżdżacz na rodeo. Mnie chodzi tylko o to, żeby choć trochę zachęcić cię do współpracy.

- No dobrze - burknął przez zaciśnięte zęby. Kiedy jednak nadszedł czas, by wracał do swojego pokoju, równie trudno było jej go wypchnąć, jak przedtem skłonić, by przyszedł.

Kiedy Frank wykonywał te idiotyczne ćwiczenia w sali rehabilitacyjnej, zaszła w nim niespodziewana zmiana. Otóż podjął decyzję, że będzie walczył. Może stało się tak dlatego, że każda inna perspektywa była jednak nie do przyjęcia dla mężczyzny przyzwyczajonego do trzymania swego życia w garści. Może po prostu zaczął jaśniej rozumować i zdał sobie dokładnie sprawę z sytuacji.

A może uświadomił sobie, że zrobiłby wszystko, by zyskać aprobatę Jenny, żeby zobaczyć na jej twarzy ten ciepły, pełen czułości uśmiech. Długo szukał kobiety, która mogłaby łączyć w sobie cechy diablęcia wcielonego i anioła. A coś mu mówiło, że w końcu ją znalazł.

Siedział w pokoju, wciąż wyciskając tę cholerną szmatkę, kiedy nagle weszła matka. Miała sześćdziesiąt dwa lata, lecz nadal była pełna życia, posiwiały jej tylko kruczoczarne włosy. Wkroczyła z takim impetem, jak najbardziej energiczna pielęgniarka na piętrze.

- Zjadłeś lunch? - spytała kręcąc się koło niego.

- Już dawno temu - odparł z rezygnacją, patrząc, jak matka w sekundę poprawia pościel na łóżku, kwiaty w wazonie i sprawdza kosz na śmieci.

- Myłeś zęby? - Porządkowała teraz rzeczy na stoliku nocnym.

- Mamo, usiądź - poprosił, nie mogąc już znieść jej krzątaniny.

Usiadła na krześle, lecz już po dziesięciu sekundach wstała i zaczęła poprawiać zasłony. Błede słońce prześwietlało przedwieczorną mgłę.

- Wciąż sprawiasz kłopoty tej rehabilitantce?

- Nie.

- To dobrze. - Skinęła głową. - Wygląda na miłą dziewczynę. - Rzuciła mu spojrzenie.

- Tak, jest miła.

- I ładna.

- Tak - zgodził się, chociaż opis Jenny wydawał mu się zbyt blady. - Ale o co ci chodzi?

- Jeżeli nie potrafisz się domyślić, chłopcze, to nie ma dla ciebie nadziei. - Inteligentne oczy zaiskrzyły się z rozbawienia.

Frank omal nie jęknął. Jeżeli matka chce się bawić w swatkę, to nie będą mieli z Jenny ani chwili spokoju.

- Mamo, nie wtrącaj się do tego.

- Do czego? - spytała zdumiona. - Po prostu wyraziłam swoją opinię.

- A więc została ona odnotowana.

- Jest mężatką?

- Mamo!

- Dobrze, już dobrze. Jesteś zupełnie inny niż twoi bracia. Oni zawsze szukają. Nie przepuszczą ani jednej soboty, by nie wyjść gdzieś z tą lub tamtą. Czasem myślę, że cię

skrzywdziłam, obarczając taką odpowiedzialnością. Może w twoim pojęciu już spełniłeś obowiązki wobec rodziny. Po prostu chcę ci uprzytomnić, że rodzeństwo to nie to samo, co własna żona i dzieci.

- Wierz mi, że wiem o tym.

- Naprawdę? Niespecjalnie ci się śpieszyło, by wziąć ślub z Megan. Długo ją zwodziłeś.

Na dźwięk imienia swojej byłej narzeczonej Frank poczuł znajomy ucisk w piersiach.

- Nie chcę rozmawiać na temat Megan.

- No właśnie. Nigdy o niej nic nie mówiłeś. Przez pięć lat. spotykałeś się z tą kobietą, a potem nagle już po wszystkim. Nawet nie powiedziałeś, co się stało, ani które z was zerwało.

- Teraz też nie mam zamiaru o tym mówić. Megan przeszła do historii.

- No to pomówmy o teraźniejszości. Kiedy zobaczysz się z tą Jenny?

- Mamo! - wrzasnął, ale po chwili zachichotał. - Jesteś niepoprawna.

Pochyliła się i złożyła pocałunek na jego policzku.

- No widzisz, tak jest o wiele lepiej. Dobrze, że znów się śmiejesz. Synku, martwiłam się przecież o ciebie. Taki byłeś ponury przez te dni.

- Jakoś to wszystko przeżyję.

- Wiem. Już w dzieciństwie należałeś do tych, którzy dają sobie ze sobą radę. Ze wszystkich dzieci tylko ty jeden nigdy nie płakałeś. Ojciec zawsze mówił, że jesteś twardy.

- Nie taki znowu twardy - zaprzeczył. - Staralem się albo utrzymać na rowerze, albo nie zderzyć z murem czy samochodem.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Jenny. Frank zobaczył, że się waha.

- Wejdz, proszę.

- Nie jestem przyzwyczajona, żeby z tego pokoju dochodziły głosy i śmiechy. Musiałam więc sprawdzić, bo byłam pewna, że mi się wydaje.

Frank dostrzegł na twarzy matki wspaniałą, powitalny uśmiech.

- Wejdźże, dziecko. Rozmawiamy sobie o dawnych czasach - powiedziała.

- Może przyjdę później - zaproponowała Jenny.

- Ależ nie - zaproponowała matka. - Proszę siadać tu z nami.

- I jedyne krzesło w pokoju przysunęła jeszcze bliżej łóżka. - Chyba pójde kupić sobie filiżankę kawy.

- Proszę nie wychodzić.- Jenny cofnęła się o krok. - Może kiedy pani tu będzie, on nie pozwoli sobie tak strasznie wymyślać na rehabilitację.

- Niech pani w to nie wierzy. Uwielbia wprawiać mnie w zakłopotanie swoim niewyparzonym językiem. Wie, że nie musi się już mnie bać.

- Mamo, przecież nigdy nie postępowałaś tak, bym się ciebie naprawdę bał - zaprotestował Frank, z prawdziwą przyjemnością obserwując wyraz twarzy Jenny.

- Ale tylko dlatego, że nigdy nie używałaś tych brzydkich słów, kiedy wiedziałaś, że jeszcze jesteś ode mnie słabszy.

- Nie wierz w to jej gadanie na temat „jaka ja jestem biedna” - zwrócił się Frank do Jenny. - Mama w dowolnym momencie zarzuciłaby sobie każde z nas na plecy, gdyby tylko chciała.

- To prawda - potwierdził Kevin, który właśnie stanął w drzwiach. - Mimo filigranowej postury i tak zastraszyła nas wszystkich.

- Może ciebie - rzucił Tim, który też pokazał się w drzwiach. - Ja się mamy nie boję.

Pani Chambers stanęła mężnie na nogi prezentując swą niewielką postać.

- Chyba jednak powinieneś, młodzieńcze - powiedziała surowym tonem. - Gdzie się podziewałeś wczoraj w nocy?

- Miałem randkę - rzucił posłusznie, unikając rozbawionego spojrzenia Jenny.

- Jaka randka może trwać do trzeciej nad ranem?

- Ho, ho - mruknął Frank, patrząc z zadowoleniem, jak Tim się zwija. - No, braciszku, teraz ci się dostanie. Wiesz, jaka jest mama, kiedy się nie wyśpi.

Tim wzruszył teatralnie ramionami i objął Jenny w talii.

- Skoro już jestem na cenzurowanym, co pani robi dziś wieczorem?

- Wraca do domu - odparował Frank, który nagle spoważniał.

Jenny rzuciła mu zdziwione spojrzenie, ściągając wargi.

- Czyżby? A kto cię upoważnił do tego, by rozporządzać moim życiem towarzyskim?

- Chcesz się z nim umówić? - spytał ponuro, mrużąc oczy.

- Rany boskie — jęknęła Jenny potrząsając lokami.

- O tym, czy chcę, czy nie, naprawdę nie będę dyskutowała w pokoju pełnym ludzi.

- Moglibyśmy stąd wyjść - rzucił Tim z szelmowskim błyskiem w oku.

- Jeżeli to zrobisz, wyjdę za wami - pogroził Frank. Spojrzenia braci się spotkały i przez ułamek sekundy przekazały sobie i męskie wyzwanie, i warunki porozumienia.

- Chodź, mamó. - Tim objął matkę ramieniem.

- Chyba to jednak nasza kolej. Kevin, ty też ruszaj.

- Ale przecież dopiero tu przyszliśmy - burknął Kevin.

- No chodźmy - powtórzył Tim stanowczo i tak dyplomatycznie, że naprawdę w niczym nie ustępował emisariuszowi Departamentu Stanu, na którego, jak wszyscy twierdzili, świetnie się nadawał. Lecz rodzina jednocześnie

dokuczała mu, że zanim ukończy studia prawnicze, zdąży się tak postarzyć, że nie będzie w stanie wsiąść do samolotu.

Kiedy wszyscy wyszli, zapanowała błogosławiona cisza. Jenny też zaczęła się pomalutku wycofywać w stronę drzwi.

- Czasami są trochę męczący, ale to tylko z dobroci serca.

- Widzę to i rozumiem.

- Przyszedłeś w jakimś konkretnym celu?

- Po prostu chciałam przed wyjściem upewnić się, jak ci idą ćwiczenia. Wkrótce powinni przynieść ci kolację.

- Czy wszystkimi pacjentami tak się opiekujesz?

- Wszystkimi. - Ale rumieniec na jej policzkach był jednoznaczny.

- Dlaczego więc reagujesz zmieszaniem na to pytanie?

- Zmieszaniem? Słuchaj, jeżeli niczego nie potrzebujesz, już idę.

- Poczulbym się o wiele lepiej, gdybyś została.

- I co bym robiła?

- Porozmawiałabyś ze mną.

- Mogłeś porozmawiać z rodziną. Dlaczego ich wypędziłeś?

- Nie wypędziłem. Po prostu wyszli. A poza tym z nimi rozmawiam zawsze. Znam wszystkie ich historyjki. Teraz chciałbym, byś ty mi coś opowiedziała.

- Moje opowieści nie są takie ciekawe - westchnęła, ale nie przestała się cofać do drzwi.

- Dla mnie będą ciekawe.

- Dlaczego? - Patrzyła na niego marszcząc ze zdumieniem brwi.

- Musi istnieć jakiś konkretny powód?

- Na ogół istnieje - odparła z wyraźną nutką cynizmu w głosie.

- Naprawdę nie mam zamiaru do niczego cię zmuszać - powiedział podnosząc do góry zabandażowane ręce.

- No rzeczywiście - zachichotała.

- Nie ma się czego bać. - Frank właściwie nie wiedział, dlaczego nalega, a ona się boi. Wiedział tylko tyle, że w głębi duszy marzy wyłącznie o tym, żeby nie wyszła.

W końcu usiadła na krześle, starając się zachować sporą odległość od jego łóżka. Mimo to odetchnął z ulgą.

- A więc, Jenny Michaels, co jest dla ciebie najważniejsze?



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Frank rzucił wściekłe spojrzenie na aparat telefoniczny. Jak, do diabła, mężczyzna, który ma dziecinną siostrę i pięciu braci zawracających mu ciągle głowę prośbami o rady, może naprawdę poznać kobietę? Ten cholerny telefon dzwonił już po raz trzeci w ciągu godziny, w czasie której zamierzał opowiadać Jenny o sobie. Oczywiście, tego rodzaju sytuacja nie zaskoczyła go po raz pierwszy w życiu. Prawdopodobnie dzięki takim rodzinnym układom potrzebował aż pięciu lat, by się zorientować, że Megan nie jest dla niego odpowiednią kobietą, i dodatkowo dwa miesiące, by delikatnie dać jej to do zrozumienia. Tak świetnie pasowała do całej rodziny, że zbyt późno dostrzegł, iż nie pasuje do niego. Teraz nie miał zamiaru popełnić tego samego błędu.

- Karyn - wydusił z siebie po pięciu minutach słuchania pytań, jak zreperować różne rzeczy w domu - kocham cię i uwielbiam, ale dlaczego mnie pytasz, jak zreperować zlew, a nie swojego cudownego męża? Nie ma go w domu?

Zerknął na Jenny i dostrzegł w jej oczach rozbawienie. Wyglądało na to, że te ciągłe telefony wcale jej nie przeszkadzają, wręcz przeciwnie, jakby przynosiły jej ulgę. Za każdym razem wsuwała mu słuchawkę między ucho a ramię i otwarcie podsłuchiwała.

- Jest, ale mój mąż zajmuje się samochodami wyścigowymi i sprzedaje limuzyny - odparowała Karyn. - Dlaczego uważasz, że potrafi zreperować zlew? Każda płeć ma swoje zadania.

- Każdy mężczyzna, który potrafi rozkręcić gaźnik i złożyć go z powrotem w pięć minut, powinien też umieć rozkręcić syfon pod zlewem. A właściwie to ty sama powinnaś to zrobić.

- Chyba w domu jest sześciu braci, to do kogo to należy?

- No i kto tu znów mówi o zadaniach obu płci?

- Mniejsza o to. Zawołam hydraulika.  
- Ale czy jesteś pewna, że zlew rzeczywiście się zatkał?  
- Oczywiście, że tak. Po co bym dzwoniła?  
- Może po to, że bym tu, w szpitalu, nie czuł się bezużyteczny.

- Mój drogi braciszku, stoję po kostki w wodzie, a ty oskarżasz mnie o kłamstwo?

- Nie po raz pierwszy by ci się ono zdarzyło. Uwielbiam cię, kiedy tak się wysilasz. Do jutra.

Karyn chrząknęła z oburzeniem, a Frank dał sygnał Jenny, by odłożyła za niego słuchawkę.

- Przysięgam, że nie dlatego prosiłem, byś została, żeby mieć kogoś do odbierania telefonów.

- Naprawdę nie mam nic przeciwko temu. Lubię cię w otoczeniu rodziny. Ile masz rodzeństwa? Kiedy zbierają się razem w tym pokoju, wydaje się, że ponad dziesięć osób.

- Pięciu braci i siostrę. Jednego szwagra. Ze wszystkich nich to niezłe numery.

- Mam jednak uczucie, że niespecjalnie ci to przeszkadza - stwierdziła przyglądając mu się bacznie, co mimo jej niewinnych zamiarów przyprawilo go niemal o utratę tchu. Nigdy przedtem żadna kobieta nie potrafiła go tak rozszyfrować.

- Czy jestem aż taki przezroczysty? - Jego głos zdradzał zdenerwowanie.

- Wcale nie - zaprzeczyła, by poczuł się pewniej. - Przecież któregoś dnia sam mi powiedziałeś coś w tym rodzaju. Że wiesz, jakie to ważne, jeżeli człowiek czuje się potrzebny.

- Tobie tę potrzebę załatwiają pacjenci.

- No właśnie.

- Nie masz rodzeństwa?

- Nie, jestem jedynaczką. Moi rodzice mieszkają na Wschodnim Wybrzeżu. Nieczęsto więc ich widuję.

Frank nie potrafił sobie wyobrazić, co Jenny czuje - mieszkając tak daleko od rodziny. On może sobie narzekać, lecz z drugiej strony rzadko kiedy potrafi przeżyć więcej niż jeden dzień nie wpadając do matki czy rodzeństwa. Poza tym codziennie do siebie dzwonią, aby podtrzymać tę silną więź między nimi albo by podzielić się nowinami czy poszukać rady. Chociaż to ostatnie zdarzało się, niestety, coraz rzadziej.

- Nie tęsknisz za rodzicami? - spytał.

- Tęsknię, ale my nigdy nie byliśmy tak zżytą rodziną. Kochamy się, rodzice są wspaniali, ale wychowali mnie tak, bym była niezależna. W odpowiednim czasie po prostu pozwolili mi wyfrunąć z gniazda. Żadne z nas nigdy potem nie pragnęło, by wróciły dawne czasy. Wspólne wakacje nam wystarczają.

Znów zadzwonił telefon. Frank rzucił groźne spojrzenie na aparat.

- Powiedz, że wyjechałem na Tahiti.

- Sam to zrób - odparła, lecz odebrała telefon, powiedziała kilka słów i podsunęła mu słuchawkę do ucha.

- Ładnie, ładnie - zaczął Jared. - Kto to odbiera twój telefon o siódmej wieczorem? Zarabia nadgodzinami?

Frank spojrział na Jenny, by się upewnić, czy słyszała tę kąśliwą uwagę. Z wielką ochotą usiadła teraz przy łóżku, wygładziła sukienkę na kolanach, założyła nogę na nogę i znów poprawiła sukienkę.

- Ona nie jest pielęgniarką, więc żarty zostaw dla siebie. Dzwonisz w jakiejś specjalnej sprawie?

- Domyślam się, że ci w czymś przeszkadzam - rzucił zachwycony Jared. - Jedliście razem kolacyjkę? Może sałatkę owocową?

- Zawsze należałeś do tych spostrzegawczych. Dlaczego siedzisz w domu?

- Pomyliłem ci się z Timem - ciągnął wesoło Jared, nie chcąc podejmować tematu. - Może pogadamy, na jaki kolor chciałbyś mieć pomalowany dom? Pomyślałem sobie, że mogę wziąć kilka dni wolnego i zrobić ci tę przysługę. Może jaskrawożółty byłby dobry? Jest taki wesoły.

Frank naprawdę się przeraził, w każdym razie na tyle, by odwrócić to jego uwagę od sukienki Jenny, ślicznie przylegającej do ciała. Wiedział, że Jareda stać na każdy zwariowany pomysł. Rok temu wymalował ściany w swojej sypialni na zielono. W dodatku użył farby odblaskowej. Szczęśliwie jednak, jego dziewczyna się zbuntowała. Frank nie dopuszczał brata do prac malarskich, jeżeli nie mógł być sam przy tym obecny.

- Jeżeli spróbujesz pomalować mój dom na żółto, to cię wydziedziczę i nigdy już nas wszystkich nie zobaczysz - ostrzegł.

W oczach Jenny widać było rozbawienie.

- No więc dobra, wybierz jakiś inny kolor. Może fiołkoworóżowy? Z zielonymi obramowaniami?

- Żeby dom wyglądał jak jakiś idiotyczny bukiet fiołków?!

- ryknął Frank. - Chyba żartujesz! A w ogóle to musimy teraz o tym rozmawiać?

- Oczywiście, że nie. Wcale nie musimy o tym rozmawiać. Mogę sam zdecydować.

- Tylko nie to! Może na białe? Po prostu. Normalnie.

- Ale nudno.

- Jaki jest twój ulubiony kolor? - Frank spojrzał na Jenny.

- Niebieski - odparła bez namysłu. - Dlaczego pytasz?

- Pani mówi, że niebieski. Przyniesi jutro próbki farby i zdecydujemy, jaki odcień. A teraz się wyłącz.

- Twoja metoda podrywu naprawdę staje się coraz bardziej fascynująca, wielki bracie - zachichotał Jared. - Ciekaw jestem, co powiedziałaaby mama, gdyby się dowiedziała, że chcesz pomalować dom na taki kolor, żeby zrobił wrażenie na kobiecie. Pewnie by zaraz ruszyła po zaproszenia ślubne. Mam jej przekazać tę zdumiewającą nowinę?

- Idź do diabła.

- Cześć, stary.

Tym razem Jenny powoli odkładała słuchawkę. Na jej twarzy malowała się ciekawość i zarazem zdumienie.

- Chcesz ot tak, dla kaprysu, pomalować dom na niebiesko?

- To Jared będzie malował.

- Wiesz dobrze, o czym mówię.

- Trzeba go już pomalować. Niebieski nie jest ani lepszy, ani gorszy od innego koloru - odparł, specjalnie umniejszając wagę swojej decyzji. Sam nie był całkiem pewien, dlaczego tak postanowił. - I z białym obramowaniem. Co o tym myślisz?

- Myślę, że zwariowałeś.

- Tylko nie mów o tym doktorowi Wildingowi, bo jeszcze naśle na mnie psychiatrę.

- Chce pan coś dzisiaj na sen? - To pytanie padło od drzwi, w których stała pełniąca nocny dyżur pielęgniarka.

- Nie, dziękuję.- Frank potrząsnął przecząco głową patrząc na Jenny. - Mam przeczucie, że dziś uprzyjemnią mi noc miłe sny.

Patrzył na nią tak długo, aż dostrzegł na policzkach wyraźny rumieniec. Sprawiała mu przyjemność świadomość, że może wzbudzić w tej nieomyślnej rehabilitantce tego rodzaju uczucia.

- Może lepiej już pójdę i dam ci odpocząć - powiedziała, najwyraźniej zdenerwowana intymnością sytuacji.

Sięgnął odruchowo po jej rękę, lecz zorientował się, że przecież nie może jej chwycić zabandażowanymi dłońmi. Zatrzymał więc Jenny na miejscu siłą woli.

- Proszę cię, nie idź. Czuję się tu okropnie sam.

- Nie mogę zostać - potrząsnęła głową.

- Masz jakieś plany?

- Nie, nie o to chodzi.

- Przepraszam - powiedział łagodnie, widząc jej zmieszanie. - Zachowałem się jak samolub. Pewnie nie możesz się doczekać wyjścia z tego szpitala.

- To nie o to chodzi. Po prostu to...

- To... ?

- Przebywanie tu z tobą to nie najlepszy pomysł. Nie powinnam była zostać.

- A co, inni pacjenci są zazdrośni? - droczył się z nią.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. - Nagle się zezłościła i ruszyła w stronę drzwi.

Kiedy odwracając się rzuciła mu ostatnie spojrzenie, na jej twarzy malowało się pomieszanie uczuć.

- Miłych snów - wymamrotał.

Jemu jednak nie śniło się nic miłego. Nad ranem obudziło go coś, co się działo z jego rękami. Najpierw odczuwał tylko jakby delikatne ukłucia, potem odniósł wrażenie, że odarto mu dłonie ze skóry i zanurzono w kwasie. Przeszywający ból zdominował wszystkie inne odczucia.

Nie mogąc już wytrzymać, usiłował nacisnąć dzwonek. Wymagało to ogromnego wysiłku, a nawet nie wiadomo było, czy udało mu się rzeczywiście obudzić pielęgniarkę. Czekał opadł z powrotem na poduszki i próbował przywołać na pamięć twarz Jenny. Udało mu się to i przyniosło ulgę.

Przecież doktor Wilding go ostrzegł. No, ale w nim mimo to dominowało przekonanie, że kiedy rany się goją, ból

ustępuje. W przypadku oparzeń jednak gojenie się końcówek nerwów powodowało ból prawie nie do zniesienia.

Wreszcie drzwi otworzyły się i zajrzała przez nie pielęgniarka.

- Wszystko w porządku?

- Miałem lepsze noce - rzucił przez zaciśnięte zęby. Pielęgniarka wyglądała na zaspaną, lecz natychmiast udało jej się odzyskać profesjonalną gotowość.

- Aha, boli. Zaraz wracam. W pana karcie jest dyspozycja.

Pięć minut oczekiwania, aż wróci z lekami, wydawało się Frankowi najdłuższym okresem w jego życiu. Nawet zastrzyk nie przyniósł mu natychmiastowej ulgi. Poczyszające słowa pielęgniarki też niewiele pomogły. Usiłował sobie przypomnieć, z jakim stoicyzmem znosił kiedyś ból po okropnych upadkach z roweru, lecz przecież jeszcze nigdy nic go nie bolało tak jak teraz.

Drzwi lekko zaskrzypiały, ale Frank miał zaciśnięte oczy i nic nie widział. Może to wyszła pielęgniarka. Nagle jednak poczuł zapach wiosennych kwiatów. Jenny!

Otworzył oczy.

- Co ty tu robisz o tej porze? Jest pewnie trzecia czy czwarta nad ranem? - Skrzywił się z bólu.

Podeszła bliżej. Miała na sobie tę samą jasną jedwabną sukienkę. Pieszczotliwym ruchem przesunęła dłoń po jego czole.

- Już niedługo zaczniesz działać zastrzyk. Pomyśl o czymś miłym.

Głos miała niski, hipnotyzujący, lecz nie mógł mu się poddać. Musi jej coś powiedzieć. Wciąż przeszkadzały mu w tym ręce. Ból powodował, że myśl wciąż umykała.

- Wiedziałaś, prawda? - spytał stanowczym tonem.

- O czym?

- Że dziś w nocy może zacząć mnie boleć. Dlatego zostałeś?

- Ciicho. Zamknij oczy. - Nawet nie chciała zaprzeczać.

Nie miał ochoty zamykać oczu. Chciał patrzeć na kobietę, która okazywała mu tyle troski, że została na noc w szpitalu, bo mógł potrzebować jej pomocy. Mimo jego wysiłków, leki jednak zaczęły działać i poczuł, że zasypia. Chciał jeszcze tylko raz spojrzeć na Jenny, która przysunęła krzesło do łóżka i delikatnie głaskała go po ramieniu. Może oczy płatały mu figle, lecz przez chwilę miał wrażenie, że na jej rzęsach widzi łzy.

- Dziękuję. - Wyciągnął rękę i dotknął delikatnie jej dłoni.

Nareszcie ból ustąpił i Frank mógł zasnąć. Teraz miał naprawdę słodkie sny.

Przez kilka następnych dni wszystkie zajęcia rehabilitacyjne były dla nich obojga torturą. Pierwszy okres ćwiczeń wydawał się w tym momencie dzieciinną igraszka. Frank okropnie cierpiał, lecz ćwiczył z uporem. Rehabilitacja odbywała się tuż po zmianie opatrunków, kiedy leki najmocniej działały. Jenny też była nieubłagana. Wymagała od niego coraz więcej. Frank podziwiał ją za tę nieustępliwość, chociaż czasami przeklinał i ją, i swoją słabość.

Nie potrafił uchwycić momentu, kiedy jego uczucia do Jenny zaczęły się zmieniać, kiedy zaczął czuć do niej coś więcej niż szacunek, kiedy jej wspaniała, szczodra i łagodna osobowość zawładnęła jego duszą. Może stało się to wtedy, kiedy jej wymagania powodowały, że strasznie cierpiał. Może wtedy, gdy dotykała jego zabandażowanych dłoni z taką delikatnością, aż zapierało mu dech. Może kiedy dostrzegł w jej oczach łzy, spowodowane współczuciem dla jego cierpienia. A może po prostu wtedy, gdy siedziała przy jego łóżku i rozmawiała z nim w nocy, która nie miała końca. Nie



wiedział, jak dokładnie ma rozumieć swe nowe uczucia, lecz niezaprzeczalnie zalały go falą i z godziny na godzinę stawały się coraz głębsze.

- Idź już do domu - powiedział po trzeciej nocy - naprawdę okropnie wyglądasz.

- Nie ma to, jak podnoszące na duchu komplementy. - Powiedziała to łagodnym tonem, lecz naprawdę z oczu jej wyzierało wyczerpanie, cerę miała bladą i nawet rude loki wyglądały jak strąki.

- Nie chodzi mi o to, by ci prawić komplementy, ale o to, byś się wyspała. Nie możesz tu przy mnie siedzieć, a potem pracować przez cały dzień.

- Nic mi nie jest. Rano wracam na pół godziny do domu, biorę prysznic i przebieram się. Potem czasami mogę się zdrzemnąć w pokoju personelu.

- Akurat ci to wystarcza. Proszę cię, idź do domu. Jeżeli nie pójdziesz, przestanę wykonywać ćwiczenia, ręce wygoją mi się same i wszystkiemu będziesz winna ty.

- Ani mi się waż - odparła. - I w ogóle nie mam zamiaru wpaść w twoją pułapkę. Nie ja cię poparzyłam i nie ja będę odpowiedzialna za twoje niepełne wyzdrowienie. Moją rolą jest tylko, ci pomóc i pokazać, jak możesz odzyskać siły. Od ciebie zależy, co zrobisz z tymi wskazówkami.

- Ale powiedz, czy to zaordynowane przez ciebie leczenie ma również polegać na tym, że będziesz złośliwa i w ogóle okropna?

- Wtedy, kiedy na to zasłużysz, owszem.

- Uważasz - uśmiechnął się - że jesteś twarda?

- Dostatecznie twarda.

- Och, Jenny, mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała się przekonać, jaki z ciebie mięczak.

- Mięczak? - spytała z oburzeniem. - Chyba już nie litujesz się nad sobą?

- Nie.
- A kto ci to wybił z głowy?
- Ty - odparł solennie. - Ale, moja pani, o tym, co znaczy wybić coś komuś z głowy, przekonasz się dopiero wtedy, kiedy zobaczysz, do czego ja jestem zdolny. Idź do domu.
- A jeżeli nie pójdę? - Zadarła do góry brodę.
- Mam tu numer telefonu dyrektora Oddziału Rehabilitacji. - Poklepał się po kieszeni piżamy, którą przyniósł mu Jared.
- Nie ośmieliłbyś się. - Oczy jej zrobiły się okrągłe jak spodki.
- No to spróbuj. - Splótł ręce na piersiach i uśmiechnął się szeroko.
- To szantaż.
- Wolę uważać to za trudną miłość.
- Na słowo „miłość” Jenny całkiem znieruchomiała. W spokojnym dotąd spojrzeniu pojawiły się błyski.
- Łamiesz przysięgę.
- Jaką przysięgę? Nie pamiętam żadnej przysięgi. Masz halucynacje. Chyba z niewyspania.
- W tym pokoju. Przedwczoraj w nocy. Wymamrotałeś przez sen.
- Aha, spałem. Nie mogę odpowiadać za to, co mówiłem przez sen.
- Przebudziłeś się - rzuciła mu piorunujące spojrzenie - i powiedziałeś... coś o...
- A jak ty zareagowałaś na to nieprawdopodobne wyznanie tego... czegoś?
- Odpowiedziałam, że wszyscy pacjenci odczuwają coś podobnego.
- Wszyscy pacjenci? - Zmrużył oczy. - Nie jestem po prostu jednym ze starych pacjentów, proszę pani.

- Nie o to mi chodziło - westchnęła. - Dlaczego to robisz? Przymknęłam już nigdy nie poruszać tego szalonego tematu, że ty... - Zawahała się, nie chcąc wypowiedzieć wyrazu, który był dla nich obojga oczywisty. - Że mnie lubisz.

Frank nie przypominał sobie w ogóle takiej rozmowy, lecz to nie oznaczało, że się nie odbyła. Widać przez minione dni sporo myślał o tym wszystkim, o czym Jenny teraz mówi.

- Że cię lubię? - powtórzył za nią. - Rzeczywiście to o wiele prostsze słowo. Nie, szanowna pani. Nie mogę powiedzieć, że cię lubię. - Niski ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, jakiego chciał użyć wyrazu.

- Wychodzę - rzuciła odruchowo.

- Aha, teraz już wiem, na czym to polega - uśmiechnął się.  
- Słyszac słowo „miłość” uciekasz jak spłoszony zając.

- Przecież nikt w tym pokoju nie wymówił tego słowa - odparowała. - I nikt nie wymówi, jeżeli ma odrobinę rozsądku.

- Tak jest, proszę pani. Wymaszerowała sztywno na korytarz. Cholernie jednak trudno było nie zakochać się w kobiecie tak niesamowicie zuchwałej. Będzie więc musiał nie zdradzać przed nią swoich uczuć. Póki tak będzie lepiej, to znaczy, dopóki będzie leżał w szpitalu. A potem, wkrótce... Naprawdę to już niedługo.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Hej, Otisie! Kiedy będzie pan szedł na przerwę? - zawołał Frank na widok sanitariusza pchającego wózek z siedzącą na nim Pam.

Otis przystanął, nastolatka poczęstowała Franka jednym ze swych figlarnych uśmiechów, którym z łatwością mogłaby złamać mu serce. Puścił do niej oko.

- Za pół godziny - odparł Otis. - Dlaczego pan pyta?

- Mam talię kart. Może byśmy zagrali partyjkę?

- A na co? - Otisowi rozbłysły oczy.

- Na zapalki, aspiryny, miedziaki. Cokolwiek.

- Lepsze to niż nic - odparł Otis wyraźnie rozczarowany. - A skąd ma pan karty?

- Siostra mi przyniosła. Powiedziałem jej, że chcę pograć w remika.

- Ale kłamczuch z pana.

- Skądże znowu. - Frank potrząsnął głową. - Po prostu jestem facetem znudzonym na śmierć. Ma pan pojęcie, jaka beznadziejna jest telewizja w ciągu dnia? Nie bardzo sobie wyobrażam, bym mógł jeszcze oglądać kolejne programy z facetami, co lubią nosić damskie majtki, czy z kobietami torturowanymi przez narkomanów, którymi są ich własne dzieci. Zrobiłbym wszystko, by uniknąć oglądania tych „ciekawostek”, nawet namówił pana na partyjkę pokera. Bóg mnie pewnie pokarze za grzechy i za niechęć do naszego społeczeństwa, które wymaga pomocy.

- Nie mam pojęcia, co zrobi Bóg, ale Jenny na pewno przetrzepie panu skórę - zachichotał Otis. - I mnie też. Zaraz tu wracam.

- Poczekaj chwilkę - odezwała się Pam, której rozbłysły oczy. - Ja też chcę zagrać.

Frank z Otisem spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Nie wiem - odezwał się w końcu Frank - ale wydaje mi się, że takie dziecko jak ty nie powinno skazywać Otisa na wieczne potępienie.

- Takie dziecko jak ja, które jedzie na rehabilitację.

- Oczy jej pociemniały i spoważniały.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - rzucił Frank usiłując ukryć uśmiech, bo go rozśmieszyła próba szantażu.

- Chce powiedzieć, że wszystko wypaple, jeżeli się nie zgodzimy - mruknął Otis. - Trzymają z Jenny sztamę. - Spojrzał na dziewczynkę. - Pamelu, czy wiesz, że mógłbym cię zamknąć w schowku na bieliznę i całkiem o tobie zapomnieć?

- Nie ośmielisz się - powiedziała z pewnością siebie. - Gdyby doktor Wilding się o tym dowiedział, kazałby ci oddać tę dychę, którą od niego pożyczyłeś, żeby postawić na Gigantów. A śmiem ci przypomnieć, że przecież przegrali.

- Jak na takiego chudzielca, który musi leżeć w łóżku, naprawdę jesteś dobrze poinformowana - burknął Otis.

- Dość tego - rzuciła z godnością. - W tym szpitalu krąży więcej plotek niż w Głównym.

- No dobra, powiedzmy, że damy ci zagrać - zaczął Frank.

- Ale czy ty w ogóle dasz sobie radę?

- Dam sobie radę - odparła zuchwale. Cała była w bandażach, a jednak stać ją było na taką bez troskę.

- Rozróżnisz strita od karety?

- Wiem, że kareta wygrywa. To cztery takie same karty.

Frank uśmiechnął się i zmiękł. Od początku wiedział, że się zgodzi na jej grę. Takiej dzielnej dziewczynce jak Pam nikt by nie odmówił.

- Czekam na ciebie u mnie w pokoju za pół godziny.

- O rany! - rozpromieniła się. - Otisie, tylko na pewno nie zapomnij mnie zabrać z sali rehabilitacyjnej.

- Ależ skądże, proszę pani. Nawet by mi się to nie śniło. - Spojrzał na Franka. - Coś mi się wydaje, że ta mała niedługo zacznie nami pomiatać.

- Nie będzie tak źle. - Jeżeli chodzi o Pam, dopowiedział w duchu. A co powie na tę całą grę w karty Jenny?

Przekonał się o tym, kiedy przed Pam leżała na stole kupka monet, w sumie dokładnie dziesięć dolarów. Kupki Franka i Otisa były dzięki temu, oczywiście, mniejsze. Lecz teraz nie miało to żadnego znaczenia, bo Jenny jednym ruchem ręki zmiotła wszystko ze stołu. Monety potoczyły się z brzękiem po linoleum.

- Powinniście obaj się wstydzić! - zawołała biorąc się pod boki.

- A Pam? - burknął Otis.

- Wygrywałam! - zaprotestowała dziewczynka patrząc na Jenny. - Dlaczego to zrobiłaś? Uzbierałam akurat tyle, że mogłam sobie kupić dwa nowe pisma i pudełko cukierków.

Jenny wyglądała na pokonaną. Przysiadła na łóżku.

- Nie mogę uwierzyć. Jak mogliście tak źle na nią wpłynąć?

- Źle na nią wpłynąć? - powtórzył Frank. - Ciekawe, w jaki sposób. Ta mała to rekin z Las Vegas.

Pam promieniała. Jenny wręcz przeciwnie. -- I to wszystko ma być usprawiedliwieniem? - rzuciła. - Nie mogliście grać dla zabawy?

- To właśnie była zabawa - odparł Frank z żelazną logiką.

- A ile przegrałeś?

- Kilka dolców, mniej niż kosztuje bilet do kina, do którego i tak nie mogę się wybrać.

- A ty? - spytała Otisa.

- Mniej więcej tyle samo.

- A jak podliczysz wszystkie przegrane z tego tygodnia?

- Słuchaj, to wszystko moja wina - oświadczył Frank nie pozwalając Otisowi dojść do głosu. - Nudziłem się. To ja zaproponowałem, byśmy zagrali. Chcieliśmy mieć większą frajdę, więc zdecydowaliśmy się na pieniądze. Ale to nie znaczy, że jesteśmy zapiekłymi hazardzistami.

- Może ty i Pam rzeczywiście nie.

Otis powoli wstał. Spojrzał groźnie na Jenny. Lecz nawet to, że był taki wielki, wcale jej nie przstraszyło.

- Nie próbuj mnie zastraszyć, Otisie Johnson. Sądziłam, że chciałeś zarobić pieniądze na nowy samochód, na wynajęcie ładnego mieszkania. A jak masz zamiar to osiągnąć, jeżeli wciąż ulegasz pokusom hazardu? Przecież, do licha, przyrzekałeś!

Wyglądało na to, że Jenny wciąż wysłuchuje jakichś obietnic, których potem nikt nie dotrzymuje. Frankowi zrobiło się jej żal, lecz naprawdę nie rozumiał, o co to całe zamieszanie.

- Każdy by postawił na strita z królem - burknął Otis.

- I wygrałeś?

- Mała miała karekę. Czy to moja wina?

- Nie rozumiem - westchnęła Jenny. - Na czym polega ta przyjemność wyrzucania forsy?

- Posiedź tu chwilę, a przekonasz się - zaproponował Frank.

- Nie mam zamiaru ryzykować nawet centa w grze w karty.

- Nie będziesz musiała - przyrzekł.

Wymienił spojrzenie z Otisem, który najwyraźniej domyślił się jego zamiarów i nagle spojrzał na zegarek.

- Koniec mojej przerwy - oświadczył pośpiesznie. - Chodź, Pam, odwozę cię do pokoju. Zostaw te monety na podłodze, pobieram je później.

- I przyniesiesz mi moją forszę.

- Nie martw się, mała. Dostaniesz, co ci się należy. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Frank wskazał Jenny krzesło.

- Proszę, usiądź. Będziesz musiała potasować i rozdać. Ułóż karty w tym urządzeniu, które wymyślił Otis.

- To idiotyczne. - Rzuciła mu groźne spojrzenie.

- Chciałaś zobaczyć, dlaczego, naszym zdaniem, poker to taka frajda. No więc chcę ci pokazać. Rozdawaj. Pięć kart.

Patrzył, jak ona radzi sobie z kartami i nagle temperatura w pokoju podskoczyła o dobrych kilka stopni. Wyobraził sobie bowiem, jak te dorodne, mocne ręce dokonują z nim cudów. Jego ciało zareagowało natychmiast na tę wizję. Gdyby Jenny miała pojęcie, o co teraz grają, uciekłyby, gdzie pieprz rośnie. Tymczasem o niczym nie wiedząc tasowała z uwagą karty.

- Może powinniśmy zamknąć na klucz drzwi?

- Dlaczego? - Spojrzała zdumiona.

- Gra, która chodzi mi po głowie, nie powinna odbywać się publicznie.

- Myślałam, że gramy w pokera. - Zmrużyła oczy.

- Oczywiście. W rozbieranego.

Karty z hukiem opadły na stół. Oczy Jenny rozbłysły gniewnie.

- O, co to, to nie, proszę pana. Odjęło ci rozum?

- Ale o co chodzi? - Udawał niewiniątko. - Taki z ciebie tchórz? Musisz przyznać, że byłoby to o wiele bardziej fascynujące niż gra na forszę.

- Możesz sobie marzyć.

- Właściwie jak na początek to też nieźle. Złożyła talie kart na kupkę i odmaszerowała sztywno do drzwi.

- Jeżeli znów cię przyłapię na tym, że sprowadzasz na manowce Otisa i Pam, to... - Nagle zabrakło jej słów.

- To co?



- Nie wiem co, ale na pewno nic miłego.
- Nie wierzę, że będzie to niemiłe. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.
- Jesteś niemożliwy.
- Założymy się?
- Chyba wolałam, kiedy zachowywałeś się jak gbur albo milczek.
- Po prostu dlatego, że nie dowierzasz sobie, kiedy jesteś ze mną.
- Nonsens. Znów się mylisz. I o to byłabym skłonna się założyć.

- Kłamczucha - rzucił drwiąco. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zgoda, rzeczywiście mu skłamała. Nie bardzo bowiem wiedziała, co oznacza ta łagodność i jowialność Franka, i jakie właściwie ma odczucia. Na początku rozumiała, dlaczego Frank okazuje złość i jest zbuntowany. Teraz zupełnie się zmienił. Żartował z personelem, grał w karty z Otisem, już nie nalegał, by lekarze natychmiast wypuścili go do domu. Nie był uległy, lecz chciał współpracować i odbywać ćwiczenia. Powinna to docenić. Tymczasem bała się tego wszystkiego jak ognia. Tyle czasu spędzał teraz w sali rehabilitacyjnej, że właściwie mógłby przejąć od niej pacjentów. A kiedy tam był, trudno jej było się skoncentrować. Często spoglądała na niego odruchowo i serce zaczynało jej mocniej bić.

Dopóki był cierpiącym pacjentem, potrzebował jej pomocy. Teraz jednak reagowała całkiem inaczej na tego atrakcyjnego, otwartego mężczyznę - czuła, jak w jego obecności ogarnia ją miłe ciepło. Ta odmiana zagrażała zachowaniu obiektywnego spojrzenia na całą tę sprawę. Właściwie było o wiele gorzej - obawiała się bowiem, że zagraża ona jej sercu.

Siedziała w sali rehabilitacyjnej mieszając kawę. Weszła Carolanne i usiadła w fotelu naprzeciwko.

- Co za dzień - rzuciła dziewczyna. - W takie dni marzę o tym, by handlować lodami. Nie ma się wtedy stresów. Żadnych krańcowych napięć. Napadów złego humoru.

- Jeśli tak twierdzisz, to na pewno nigdy nie miałaś do czynienia z trzylatkiem, któremu rozek z lodem upadł na ziemię do góry nogami.

- Myślę, że i tak byłoby to łatwiejsze. - Spojrzała w stronę Jenny. - Ty też nie wyglądasz najlepiej. Nawet loki ci oklapnęły. Co się dzieje? Co znów zmajstrował wspaniały Frank Chambers?

- Zaprosił mnie na rozbieranego pokera.

- No, no, robi postępy - zauważyła Carolanne z rozbawieniem. - Przecież sama go do tego namawiasz, żeby jak najczęściej ćwiczył ruchy dłońmi. Powinnaś być dumna.

- Dumna? Ten facet mnie przeraża.

- Bo ci się podoba? O co więc chodzi? Najwyższy czas, byś znów się zakochała.

- Kto tu mówił o zakochaniu? Wspomniałam tylko o tym, że chciał mnie podstępnie skłonić do striptizu.

- Taki mężczyzna na pewno nie namawiałby cię do rozbierania się w szpitalu, gdyby nie miał poważnych zamiarów.

Jenny jęknęła i oparła głowę na ramieniu.

- To nie ten przypadek.

- Co znaczy, że to nie ten przypadek?

- Frank Chambers i ja wcale się sobą nie interesujemy.

- W porządku, chyba rozumiem - Carolanne przytaknęła ruchem głowy. - Nic się między wami nie dzieje, nie ma więc powodu, żebyś dostawała kręćka. Zgadza się?

- Zgadza.

- Dlaczego więc wlałaś sobie śmietankę do filizanki zimnej wody?

Jenny stwierdziła, że rzeczywiście ma w filiżance jakiś mętny biały płyn.

- O Boże!

- O tak, On na pewno mógłby ci pomóc znaleźć odpowiedź - skomentowała Carolanne. - Ale o wiele bliżej istnieje ktoś inny, kto mógłby wyjaśnić sytuację.

- Kto na przykład?

- Frank Chambers.

- On jej nie wyjaśni. Bo to on stanowi problem.

- Dlaczego?

- Gdybym wiedziała, nie stanowiłby problemu.

- Myślę, że na pewno jedna z nas - Carolanne miała naprawdę zdumiony wyraz twarzy - będzie potrzebowała porady psychiatry i coś mi się wydaje, że to będę ja, jeżeli nie zaczniesz natychmiast mówić jaśniej.

- Wszyscy pacjenci - Jenny nabrała powietrza w płuca - wszyscy pacjenci automatycznie przywiązują się do swoich rehabilitantek. Zgoda?

- Zgoda.

- Frank jest więc we mnie przelotnie zadurzony. Może odczuwa też pewnego rodzaju wdzięczność.

- Moim zdaniem patrzy na ciebie w zupełnie inny sposób, ale możemy o tym pogadać z twojego punktu widzenia.

Jenny rzuciła jej pełne niezadowolenia spojrzenie.

- Powinam być przyzwyczajona do takiej reakcji. Ale przedtem nigdy nie wyprowadzała mnie ona z równowagi.

- Teraz cię wyprowadza - oczy Carolanne rozbłysły

- bo zacznasz się nim interesować.

- Nieprawda!

- Może i tak - westchnęła Carolanne — ale dlaczego w takim razie jesteś tak strasznie zdenerwowana? Co najmniej sześć pielęgniarek stara się zdobyć jego serce, ale żadnej z

nich nie zaprosił na rozbieranego pokera. Mam dość, idę do domu do swojego kota, który jest prosty i nieskomplikowany.

- Minx jest nieskomplikowany? - Jenny zmusiła się do uśmiechu. - Jest tak samo znerwicowany jak my wszystkie.

- Mów za siebie - burknęła Carolanne wyjmując torebkę z szafki. A przystając przy drzwiach dodała:

- Zadzwoń, jeśli będę mogła ci się na coś przydać.

- Oczywiście. Dzięki za tę rozmowę.

Jenny została sama. Chciała się zabrać do uporządkowania papierów, co nigdy jej się nie udawało przy Franku. Lecz teraz też nie potrafiła z siebie wykrzesać zapału do tej pracy. Godzinę później, zmęczona walką z tym, co nieuniknione, ruszyła z powrotem korytarzem do pokoju 407.

Stając za drzwiami usłyszała, że ze środka dolatuje gwar głosów, częste wybuchy śmiechu. Zajrzała tam ostrożnie i zobaczyła swego pacjenta w otoczeniu rodziny. Jeden z mężczyzn, troszkę niższy i bardziej przysadzisty od Franka, lecz bez wątplenia noszący to samo nazwisko, trzymał w podniesionej ręce próbki farb. To z pewnością Jared, pomyślała uśmiechając się na widok kilku odcieni niebieskiego.

Już miała przymknąć z powrotem drzwi, kiedy Frank spojrzał w jej stronę. Przeszył ją dreszcz i ugięły się pod nią kolana.

- Hej - zawołał cichutko. - Wejdz. To ty mnie w to wpakowałaś. Teraz musisz wybierać.

Sześć par oczu zwróciło się na nią. Jenny usiłowała zlekceważyć niezbyt subtelną wymianę spojrzeń między Jaredem, Timem, Karyn i pozostałymi, których w ogóle nie знаła. Wszyscy byli do siebie podobni.

Tak jakby wyczuwając jej skrępowanie, zaczęli mówić naraz. Zapanował gwar i chaos. Jenny poszukała wzrokiem Franka. Jego spojrzenie przyciągało.

- Usiądź tutaj - powiedział przesuwając się na łóżku, żeby zrobić jej miejsce.

Usiadła obok niego i serce zaczęło jej mocniej bić. Trzymał w ręku próbki farb.

- No i co myślisz?

Było kilka odcieni, lecz ten, który przemawiał do niej najbardziej, odpowiadał dokładnie kolorem oczom Franka - czystemu błękitowi.

- Ten - powiedziała natychmiast, zupełnie zapominając o widowni zafascynowanej jej obecnością. Ze zdumieniem stwierdziła, że natychmiast wybuchła gorąca dyskusja na temat jej wyboru.

- Dlaczego akurat ten? - nalegał Tim.

- Założę się, że zgadnę - powiedziała Karyn dając Jenny znać spojrzeniem, że jako kobieta instynktownie rozumie jej wybór.

- Ja też się założę, że zgadniesz - odparła Jenny z uśmiechem, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że może dojść do krępującej sytuacji.

- A to dlaczego? - zaśpiewał chór męskich głosów.

- Nieważne - rzuciła Karyn ściskając rękę Jenny ze zrozumieniem. - Przestańmy teraz zawracać Frankowi głowę, kochani. Przecież on ma wykonywać ćwiczenia rehabilitacyjne.

- O tej porze? - spytał Jared, lecz dostał kuksańca od siostry. - No rzeczywiście, zapomniałem. Już kiedyś tak było. Chodźcie, wynosimy się.

- Całkiem domyślni. Bo chyba uważasz, że jeszcze powinienem poćwiczyć?

- Nie jestem pewna, co uważam.

- Może chcesz mnie przeprosić?

- Ja? - Włączyła system samoobrony. - Nie zrobiłam nic takiego, za co powinnam cię przeproszać.

- Ty nie, ale ja tak. Nie przyszło mi do głowy, że naprawdę przejmujesz się Otisem, tym, że uprawia hazard. Odkąd stąd wyszłaś, cały czas o tym myślę. Przepraszam, jeżeli swoim postępowaniem pogorszyłem sprawę.

- Ty nie jesteś winien - zaprzeczyła ruchem głowy. - Przecież nie mogę go ciągle pilnować. Mogę najwyżej próbować go skłonić, żeby poszedł na jakąś terapię, jeżeli sam nie będzie sobie z tym radził. Podejrzewam, że on specjalnie mnie nabiera, że jest z nim aż tak źle.

- Pożyczał kiedyś od ciebie pieniądze?

- Po kilka dolarów przed wypłatą, ale zawsze oddawał. Od innych ludzi też. - Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. - To jednak nie pasożyt. Nie sędzę, by był u kogoś zadłużony. Nie martwiłabym się o niego, gdyby robił to tylko dla rozrywki, ale jego namiętność wydaje się bardziej niebezpieczna.

- I ja wykorzystałem tę jego skłonność tylko dlatego, że się nudziłem. Nigdy już tego nie zrobię.

- Dzięki.

- Nie przyszłaś tu, aby wyciągnąć ze mnie te przeprosiny.

- Patrzył na nią z napięciem. - Dlaczego więc to zrobiłaś?

- Chyba chciałam być w twoim czarującym towarzystwie - rzuciła jak gdyby nigdy nic, ale zdradzało ją nerwowe chodzenie po pokoju.

- Możesz mi powiedzieć, o co naprawdę ci chodzi?

- Frank jakby ją prześwietlał wzrokiem. Podszedł bliżej.

Stała przy oknie zastanawiając się, co by zrobił, gdyby po prostu wyrzuciła z siebie wszystko, co czuje do niego. Gdyby mu powiedziała, że po raz pierwszy od długiego czasu dzięki niemu zatęskniła do rzeczy, o których prawie już zapomniała: do miłości, rodziny, towarzystwa, romantycznych przeżyć. Lecz przecież nie robi tego, bo utrudniłoby to im relacje pacjent - rehabilitantka.

- Może o to? - I pochylił się, by dotknąć ustami jej warg.

Pocałunek był delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla, lecz Jenny zakreśliło się w głowie. Przyciągnął ją do siebie, odprężyła się, poddała cudownemu uczuciu. Znow dotknął ustami jej ust, lecz tym razem nie poprzestał na tym, zaczął ją całować namiętnie i słodko. Był w nim żar, głód i pożądanie. Gdyby porównać te pocałunki, to pierwszy był jak wiosenny deszczyk, drugi zaś jak burza z piorunami. Jenny poczuła, że świat dookoła wiruje.

- Oczywiście, mogłem się pomylić - przerwał nagle, mówiąc to lekkim tonem, lecz głos miał zdławiony. Oczy mu pociemniały.

Jenny nie mogła złapać oddechu ani pomyśleć logicznie. Żarliwy pocałunek zupełnie ją obezwładnił.

- Zawsze możemy zagrać w pokera - droczył się z nią, kiedy tak stała milcząc.

- To niemożliwe - wydusiła w końcu z siebie, siląc się nawet na oburzony ton. - Schowałam karty.

- Jeżeli naprawdę chcesz tu ze mną zostać, możemy pooglądać razem telewizję.

Tę propozycję uznała za dostatecznie nieszkodliwą.

- Dobrze.

Frank wrócił do łóżka, by sięgnąć po pilota i włączyć odbiornik.

- Chodź tu do mnie. Może chciałabyś się przytulić?

- Nie poganiaj. - Uśmiechnęła się i przysunęła sobie krzesło. Pocałunek skłonił ją do rozważań.

- Szkoda, że nie mamy kukurydzy. Co to za randka w kinie bez kukurydzy?

- Mogę pójść i kupić z maszyny, a potem odgrzać w mikrofalówce. - Propozycja Franka wydała jej się miła i kojąca.

- Naprawdę też masz ochotę?

- Oczywiście, że tak. Umieram z głodu. Dopiero kiedy wróciła z kukurydzą, uświadomiła sobie, jaki on jest przewrotny. Bo przecież musiała go tą kukurydzą karmić siedząc przy nim na łóżku.

- Ale z ciebie spryciarz - rzuciła sadowiąc się wygodnie. - Tylko nie patrz na mnie tak niewinnie. Takie samo z ciebie niewiniątko jak z Don Juana.

- Nie musiałaś się zgodzić na tę kukurydżę. I żeby mnie karmić.

- Pewnie. Mogłam siedzieć na krześle i sama zajadać.

- Ty byś tak nie zrobiła.

- Myślisz, że mnie tak dobrze znasz?

- Dostatecznie dobrze.

- No i co?

- Wydaje mi się, że w końcu przestałaś się przede mną bronić.

Jenny westchnęła, przypominając sobie wspaniałe uczucie, kiedy Frank ją całował.

- To tylko przerwa na dzisiejszy wieczór.

- Kochanie, to dopiero początek. Początek. - Tym razem Frank też się z nią nie spierał.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Frank czuł się ogłuszony. Minęło kilka dni, w czasie których interesował się głównie Jenny, a nie sobą, a rehabilitacja dawała coraz lepsze wyniki, aż tu nagle musiał stawić czoło rzeczywistości. Zdjęto mu wszystkie bandaże, skóra już dostatecznie się wygoiła. Patrząc na swoje ręce miał jednak wrażenie, że należą do kogoś innego.

Widywał je, oczywiście, już wcześniej podczas opatrunków, wolał jednak wtedy myśleć, że jeszcze jest czas, że może zdarzy się jakiś cud i blizny znikną. Lecz teraz doktor Wilding wyraźnie oświadczył, że żaden cud się nie zdarzy, że zaczerwienienie stopniowo będzie znikać, ale blizny pozostaną na zawsze. Frank usiłował sobie wyobrazić, jak ma z tym żyć. Najpierw myślał, że to nie będzie dla niego problemem, teraz jednak aż skręcało go w brzuchu, kiedy o tym myślał.

- Jest zupełnie nieźle - mruknął lekarz z zadowoleniem. - W przyszłości może pan pomyśleć o operacji plastycznej, przeszczepie skóry, jeżeli będzie pan chciał, ale to też niewiele pomoże. Gdyby miało naprawdę pomóc, już dawno bym ją doradził. Ale i tak ma pan szczęście. Mogło być gorzej.

Szczęście? Co to za szczęście, jeżeli ma się takie ręce, na których właściwie należałoby nosić rękawiczki przez okrągłą dobę? Próbował sobie przypomnieć swoje ręce sprzed wypadku. Ręce pokaleczone, podrapane przy pracy, lecz wyglądające przecież wspaniale. Zwłaszcza w porównaniu z ich obecnym stanem.

Wreszcie oderwał od nich wzrok i zdecydował się spojrzeć na Jenny. Czekał w napięciu na jej reakcję.

Ściągnęła brwi, przygryzła dolną wargę, lecz przypomniał sobie, że często tak reagowała, kiedy po prostu się nad czymś zastanawiała. Zresztą po chwili zaczęła się powoli uśmiechać, nawet rozblęły jej oczy. Mimo to Frank nie czuł się

przekonany. Był wręcz pewien, że żadna kobieta nie pogodziłaby się z tym, żeby dotykały jej takie ręce. Usiłował sobie wyobrazić napiętą czerwoną skórę na bladych, pięknych piersiach Jenny, na wypukłości jej bioder, lecz wyobraźnia odmówiła mu posłuszeństwa.

Gniew, bunt i strach o to, czy będzie mógł wykonywać swój zawód, jakie odczuwał na początku, były niczym w porównaniu z poczuciem pustki, które opanowało go teraz. Nigdy sobie nie pozwoli na takie porównania hańbiące urodę Jenny.

Cóż za gorzka ironia - poznać taką kobietę tylko po to, by zaraz się okazało, że nigdy nie mogą być ze sobą. Łagodna, czuła Jenny miała w sobie dość współczucia i zrozumienia, by móc je ofiarować nie tylko jemu, lecz także całemu światu. Przejawiało się to w jej stosunku do pacjentów, do Otisa. Można by było skorzystać z pokusy i pogrzać się w jej ciepłe, przyjąc jej współczucie i litość i nazwać je miłością.

On jednak tego nigdy nie zrobi. Oszaleje z bólu, z poczucia tej niesamowitej niesprawiedliwości, lecz przysięga sobie, że nigdy nie zwiąże się z Jenny. Uzbroi się przed wszelkimi tęsknotami, które odczuwa, odkąd ją poznał, zwalczy w sobie wszelkie odruchy i chęć dotykania jej czy bycia z nią. Ten jeden pocałunek tak pociągający jak narkotyk był ich ostatnim pocałunkiem. Kiedy wypiszą go ze szpitala, odejdzie na zawsze z jej życia.

Upływały ostatnie dni pobytu Franka w szpitalu. Jenny wiedziała dokładnie, co się dzieje. Znała to z doświadczenia. Lecz u Franka wszystko przebiegało bardziej intensywnie, bo taki miał charakter. Niepewność sytuacji, jaką odczuwał, doprowadzała go do szału, wrzeszczał na wszystkich dookoła. Zawsze stwarzał w swojej wyobraźni sytuacje i obrazy bez zarzutu, teraz musiał się pogodzić z niedoskonałością. Dla Jenny czy kogoś innego blizny Franka naprawdę mogły być

zupełnie nieistotne, wystarczało jednak, że on sam uważał je za coś strasznego.

Tylko raz, wtedy gdy zdjęto mu na dobre bandażę, pozwolił sobie odsłonić przed Jenny to, co naprawdę czuł, tylko wtedy nie maskował swego bólu. Potem zupełnie się odizolował psychicznie. Owszem, przychodził regularnie na rehabilitację, lecz prawie się nie odzywał. Dziś było podobnie.

Siedział sztywno na krześle i z furią wykonywał ćwiczenia, nie zwracając uwagi na to, że z czoła cieknie mu pot, a mięśnie ramion napięte ma do granic możliwości. Jenny już nie potrafiła tego znieść. Przysunęła sobie krzesło i usiadła blisko niego. Kiedy patrzyła na cierpienie Franka, bolało ją serce. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- Przestań już.

Podniósł głowę, popatrzył na Jenny wojowniczo. Czują, że za chwilę będzie się z nią kłócił, lecz jakby ustąpił. Cofnął powoli ręce i schował je pod stołem.

- Nie rób tego. Proszę cię, nigdy nie chowaj ich ani przede mną, ani przed nikim innym.

Zapadła cisza, słyhać było tykanie zegara. Mijały minuty, minęła cała wieczność. W końcu Frank położył ręce z powrotem na stole. Jenny ujęła jego prawą rękę w swoje dłonie i przesunęła palcami po bliznach. Frank zamarł, zacisnął zęby, lecz tym razem nie odsunął się od niej. Ale też na nią nie patrzył.

- Takie piękne, mocne ręce - mruknęła. - Wiem, co potrafisz nimi zrobić. W życiu nie widziałam niczego równie pięknego.

- Ale już koniec z tym - rzucił ponuro.

- Wiesz, że to nieprawda - zniecierpliwiała się. - Wiesz, że nie możesz wykonywać tej pracy tylko przez pewien czas. Ale wrócisz do niej. Przecież twój stan ulega codziennie poprawie. Nie widzisz tego?

- Może tak, może nie. - Wzruszył obojętnie ramionami.

Przyglądała się bacznie, jak patrzy na jej ręce, potem na swoje, widziała, że unika jej spojrzenia, opuszcza wzrok.

- Przejmujesz się bliznami?

Potrząsnął przecząco głową, lecz ona wiedziała swoje.

- Przestań. Naprawdę nie wstydź się tego, że twoja próżność została wystawiona na próbę. To naturalne.

- Uważasz, że tu chodzi o coś tak trywialnego jak moja próżność? - Spojrzał na nią gniewnie.

- A czy tak nie jest? Składamy się z różnych elementów, nie tylko z jednego. Ale często koncentrujemy się całkowicie na tym, co jest w nas niedoskonałe. - Popatrzyła na niego z uwagą, ciekawa reakcji. Miał zamknięte oczy. - Nie zauważyłeś tego, że aż nas korci, by mówić o swoich niedoskonałościach, by zwracać na nie czyjąś uwagę, żartować na ich temat po to, żeby wszyscy wiedzieli, że my je znamy i w ogóle nas to nic nie obchodzi. Przecież kobiety żartują na temat swoich grubych ud, mężczyźni wyśmiewają swoje łysiny tylko po to, by przekonać świat o tym, że to dla nich nieistotne. A tak naprawdę robią to dlatego, że jest to dla nich piekielnie istotne. Frank słuchał z uwagą, lecz miał przez cały czas ten sam sceptyczny wyraz twarzy. Znów dotknęła jego dłoni. Usiłowała go przekonać, by nie pozwalał sobie na uzalanie się nad sobą.

- Jeżeli blizny staną się twoją idee fixe, wszyscy inni też będą na nie zwracali uwagę. Zaakceptuj fakt, że je masz, podobnie jak kolor oczu czy rytm serca. Są częścią ciebie, a jesteś naprawdę wspaniałym mężczyzną.

Mówiła niby swobodnie, a tymczasem w gardle dławili ją uczucia, na jakie rzadko sobie pozwalała. Słowa brzmiały w znajomy sposób, poruszały dawne urazy, niby już zapomniane. Po policzku spłynęła jej łza. Upadła na rękę Franka. Podniósł wtedy wzrok i spojrzał jej w oczy.

Cokolwiek jednak czuł, postanowił tego nie pokazać, tylko zamaskować to gniewem.

- A cóż ty, do diabła, możesz o tym wiedzieć? - napadł na nią. - To lekcja numer dziesięć, recepta na wyzdrowienie? Wszystko jak na zamówienie, jasne i trafne. Dobra jesteś. Oddaję ci sprawiedliwość. Prawie uwierzyłem. Dzięki tym łzom. Pierwsza twoja specjalizacja to rehabilitacja, a druga to aktorstwo?

Tym razem ona się odsunęła. Czuła, że narasta w niej furia.

- Co ty wyprawiasz, do cholery!

- Ktoś ci kazał tak ze mną rozmawiać. A cholera to już mnie wzięła. Patrzę na te ręce i widzę, jakie są obrzydliwe. Czuję tylko ból. Jak możesz ich dotykać?

- Nie czujesz bólu, tylko użalasz się nad sobą. Jesteś zarozumiałym egoistą i bubkiem!

Po raz pierwszy w życiu pozwoliła sobie na taki wybuch wściekłości wobec pacjenta. Lecz mimo to czuła się wspaniale. Nawet gdyby zabroniono jej przez to wykonywać dalej zawód, już nie starałaby się pohamować tego gniewu. Jej wybuch miał niewiele wspólnego z samym Frankiem, chodziło raczej o jej własną zranioną dumę.

- Myślisz, że jako jedyny na świecie jesteś tak okropnie okaleczony? - dążyła dalej. - Tylko na tym oddziale leży co najmniej kilkunastu pacjentów w gorszej sytuacji. Niektórzy mają oszpecone bliznami twarze i nie pomoże im żadna operacja. Niektórzy w ogóle będą mieli szczęście, jeśli przeżyją.

- Nie mówię o nich. - Machnął obojętnie ręką.

- Wiem, że w porównaniu z nimi miałem dużo szczęścia. Kiedy patrzę na Pam, naprawdę nie potrafię nawet myśleć o tym, przez co ona jeszcze musi przejść. Teraz jednak mówiłem o tobie. Dlaczego uważasz, że właśnie ty masz

prawo instruować mnie czy kogoś innego, jak powinien żyć, co czuć i jak siebie zaakceptować? Mam dość tych banałów, dość protekcjonalności.

- Protekcjonalności? - Spojrzała na niego ze zdumieniem. - Uważasz, że to jest protekcjonalność? Cholera, co ty znów wyprawiasz! Nigdy nie przyszło ci do głowy, że dokładnie wiem, jak możesz się teraz czuć? Że wiem to dokładnie?! Może moje blizny nie są tak widoczne jak twoje, ale istnieją!

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nie dała mu dojść do słowa.

- Raz mnie wysłuchaj do końca - rzuciła gniewnie.

- Kiedy odcięli mi pierś, bo miałam raka, pozostała mi wielka szrama. Chirurg był świetnym specjalistą, więc wszystko to wspaniale załatwił, szwy były mistrzowskie, ale trudno nie zauważyć, po czym to jest blizna. Spróbuj mi udowodnić, spróbuj udowodnić jakiegokolwiek kobiecie, że utrata piersi nic nie znaczy. Spróbuj którejs z nas udowodnić, że nic się nie stało i nadal jesteśmy pełnowartościowymi kobietami: Nie uwierzemy w to. Przeczy temu każda dowolna reklama w telewizji, każdy kostium kąpielowy. My też wiemy, co to jest piękno kobiecego ciała.

Frank nabrał nagle powietrza w płuca, w jego spojrzeniu pojawiła się czułość, lecz ona tego jakby w ogóle nie zauważyła.

- Rozumiesz to? - ciągnęła. - Możemy się nauczyć na nowo żyć tylko wtedy, gdy możemy sobie wytłumaczyć lub uwierzyć, że nadal jesteśmy w pełni sobą, że nadal jesteśmy atrakcyjni, mimo blizn. Nie zachowuj się więc jak jakiś supermęski świr, tylko dlatego że nie masz już pięknych rąk. Nadal będziesz, do diabła, żył i jedynie to jest ważne.

- Przepraszam - wymamrotał Frank.

Był wstrząśnięty do głębi jej zdumiewającą tyradą i tym, co mu wyjawiała. Kiedy odwróciła się z zamiarem wyjścia z

pokoju, złapał ją nie zważając na własny ból, bo cierpiał wraz z nią, również dlatego, że zadał jej dodatkowy ból.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś piękna? - spytał trzymając ją. Podniósł ręce, by pogłaskać ją po policzku, zawahał się, aż w końcu zmusił do pogładzenia jej pieścizotliwie po jedwabistej skórze wiedząc, że od tej chwili jest zgubiony. Nie będzie już powrotu. Miłość, jaką czuł do Jenny, potrzeba chronienia jej i pielęgnowania, już zawsze będą w nim dominowały. Nie będzie już potrafił odejść i poświęcić tego wszystkiego, bo ta dziewczyna też miała w sobie ogromnie dużo bólu i własnych wątpliwości. - Nie wiesz, jak dumny mógłby być mężczyzna z faktu, że może być z tobą?

Westchnęła tak głęboko, że wstrząsnęło to całym jej ciałem. Nie patrzyła na Franka, wzrok miała utkwiony w podłogę.

- Jenny, przepraszam, przepraszam, że byłem takim głupcem.

Westchnęła ciężko i objęła go w pasie. Przytuliła mokry od łez policzek do jego piersi.

- Za to, że jest się głupcem, nie idzie się do piekła - mruknęła.

- Może i Bóg za to w ten sposób nie karze, ale nie wiem, jak ty.

Zwrócił powoli jej twarz ku swojej. Z jej oczu nadal ciekły po policzkach łzy.

- Nigdy nie potępiałam cię za to, że potrafisz ranić. Po prostu chciałam, byś przestał to robić. Chciałam, byś wiedział, że rozumiem, co teraz przeżywasz. Kiedy życie nagle rąbie cię tak, jak teraz ci przyłożyło, nie jest łatwo pozbierać wszystko od nowa i żyć dalej, ale trzeba to zrobić. Trzeba uwolnić się od gniewu i żyć dalej.

- A tobie to się udało? - spytał niemal pewien, że Jenny łatwiej udziela rad, niż sama z nich korzysta.

- Uwolniłaś się od gniewu?

- Na ogół tak. Może mnie jest łatwiej, bo moją bliznę nie zawsze widać. Nie muszę wciąż się do niej ustosunkowywać, zwłaszcza publicznie.

Przyjrzał jej się uważnie, wiedząc, że mówi tutaj o wielu, wielu sprawach, o tylu, że chyba nawet sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

- To znaczy, że najtrudniejsze jest mówienie na głos o tych problemach?

Uśmiechnęła się do niego z wahaniem, tak jak Pam. Poruszyło to w nim najgłębsze nuty.

- Nie. Najtrudniejsze jest to, co się w człowieku dzieje w środku nocy. Wtedy, kiedy ogarniają nas wszelkie wątpliwości i strach.

Frank objął ją i modlił się, by odgadła, że ją rozumie i jej współczuje, i żeby to dodało jej sił. Czuł jednak, że Jenny zamyka się w sobie i nie przyjmuje jego daru.

- Czy od czasu operacji byłaś z mężczyzną? - spytał zniecierpliwiony, domyślając się nagle głównej przyczyny jej cierpienia. Jakiś głupiec pewnie utwierdził ją w jej wątpliwościach, zawiódł, nie udzielił pomocy. Frank zadał pytanie łagodnym tonem, lecz czuł, że mimo to zburzyło ono cały jej system samoobrony i otworzyło stare rany.

- Jak śmiesz mnie o to pytać? - zareagowała wściekłością na nagły ból otwartej rany. - Zapomniałeś, że znamy się tylko z relacji pacjent i rehabilitantka? Nic więcej. To cię nie upoważnia do wtrącania się w moje prywatne życie.

- To ty otworzyłaś drzwi. Odkąd pierwszego dnia weszłaś do mojego pokoju, oboje wiedzieliśmy, że jest między nami coś więcej, coś, od czego nie da się uciec.



- Nieprawda - zaprzeczyła zbyt szybko i podniosła ręce tak, jakby chciała uniknąć wszelkich następnych bolesnych stwierdzeń. - Mylisz się. - Cofnęła się i zamknęła w sobie. - Muszę iść. Doktor Wilding chce cię wypuścić stąd jutro rano. Spróbuję wpaść, zanim wyjdiesz.

Lecz nie przyszła. Frank wpatrywał się w drzwi i czekał. Kiedy nie potrafił już tego znieść, poszedł do sali rehabilitacyjnej. Stał tam przed drzwiami Otis.

- Słyszę, że wychodzisz dzisiaj? Jak będę mógł coś wygrać, kiedy mi znikniesz? - Od jakiegoś czasu mówili sobie po imieniu.

- Dla mnie epoka hazardu chyba się skończyła.

- To ciebie też dopadła ta dziewczyna? - zachichotał. - Uważa, że potrafi zbawić cały świat. Ale ma dobre serce. - Popatrzył na Franka bacznie. - Nie bierzesz tego za coś innego?

Frank potrząsnął głową. To, co czuł do Jenny, było jednoznaczne. Jej uczucia też były niezaprzeczalnie silne. Musi ją o tym przekonać. Powinien tylko najpierw ją przeprosić za to, że wczoraj wieczorem tak brutalnie wtargnął w jej życie intymne zadając pytania, do których nie miał prawa, nie zaskarbiwszy sobie przedtem jej zaufania kwiatami i czułymi słowami. Wtedy by udowodnił, na ile mu na niej zależy i że między nimi nie powinno być żadnych tajemnic. Musiał się dowiedzieć, czy jakiś głupiec nie naruszył lekkomyślną uwagą czy spojrzeniem jej kruchej poczucia własnej wartości. Spędzi resztę życia na wynagradzaniu jej tego, na udowadnianiu, że jest w pełni kobietą.

- Czy ona jest tam? Muszę się z nią widzieć.

- Ma pacjenta. - I nie przesunął się ani o centymetr, całkiem blokując drzwi.

- Otis, czy ona ci coś o mnie mówiła? - Frank zmrużył oczy.

Sanitariusz patrzył na niego obojętnym wzrokiem, lecz bez wątpienia miał coś do ukrycia.

- A miała o czym? - rzucił.

- Nie. O niczym. Powiedz jej, że jeszcze z godzinę będę w swoim pokoju. Kevin odbiera mnie w czasie lunchu.

Jenny wiedziała, co się dzieje z Frankiem, już kilka dni wcześniej. Przecież, do diabła, rozmawiały o tym z Carolanne. Kilka razy zdarzyło jej się, że pacjenci uważali, iż są w niej zakochani. Z pogodą lekceważyła ich awanse, bo wiedziała, że jak tylko przejdą przez okres rehabilitacji, powrócą do swojego dawnego życia. I tak bywało. I z Frankiem stanie się tak samo, zachowa się podobnie.

Tylko w jej sercu ta sprawa będzie naprawdę inna. Przemówiła do niej jego osobowość. Tyle mógł dać miłości. Był chodzącym potwierdzeniem prawdy, że im więcej dasz miłości, tym więcej możesz jej jeszcze ofiarować. Nigdy nie знаła mężczyzny, który byłby odpowiedzialny za więcej osób niż Frank, który sam czerpałby z tego tak wiele.

Prawie przez dwa tygodnie znajdowała się niemal w kręgu tej miłości i lojalności, czuła się jak dziecko, które z nosem przyklepionym do szyby ogląda piękne zabawki. Lecz pomimo tego, co czuła do Franka i co sobie wyobrażała puszczając wodze fantazji, uważała, że ich wspólne życie nie jest im pisane. Bo kiedy Frank upora się z problemem własnych blizn, ona nie będzie go obciążała swoimi.

Nie zamierzała powiedzieć mu tak dużo o raku piersi. Nie unikała tego tematu z przyjaciółmi, lecz Frank był przecież jej pacjentem. A nigdy przedtem przed żadnym pacjentem tak się nie otworzyła. Nikt więc nie wiedział, dlaczego ona potrafi lepiej i głębiej, zrozumieć pacjentów niż inne rehabilitantki. Z Frankiem jednak było tak, że każde wywołane czymś nagle uczucie gniewu czy rozczarowania powodowało, że zacierała się granica między ich życiem w szpitalu a prywatnym.

Kiedy Frank przyszedł dziś rano pod salę rehabilitacyjną, usłyszała jego głos i wymianę zdań z Otisem. Serce podskoczyło jej do gardła. Gdy zapadła cisza, wyjrzała na korytarz.

- Poszedł - rzucił Otis lakonicznie. - Nie rozumiem jednak, dlaczego chcesz go unikać. Dawno już nie widziałem mężczyzny tak oddanego kobiecie.

- Myślę, że z psychologicznego punktu widzenia można to nazwać przesunięciem.

- Zabawne, mnie wydaje się, że raczej pożądaniem.

- Możesz już sobie iść, Otisie. - Spojrzała na niego ostro.

- Odbębniłem już swoją rolę, więc już cię nie interesuje, co ja mam do powiedzenia, tak? Niestety, jestem innego zdania. - I delikatnie wepchnął ją z powrotem do pokoju i usadził na krześle. - Posiedź tu tylko minutkę i wysłuchaj teraz mnie.

- Otis, co ty robisz!

- Proszę cię, nie baw się ze mną w Wersal. Zawsze dobrze się rozumieliśmy. Od dnia, kiedy zawiozłem cię na salę operacyjną, a potem z niej wywiozłem. Trzymałaś mnie za rękę i na nią się wypłakiwałaś, więc chyba wiem, co w tobie siedzi.

- Otis, ale ja naprawdę nie chcę teraz o tym mówić.

- To dobrze. Możesz słuchać. Frank jest naprawdę w porządku. Każdy mężczyzna, którego rodzina tak kocha, musi na to zasługiwać, musiał coś dla niej zrobić. Postąpiłabyś słusznie trzymając się jego. Ale zrobisz, jak uważasz. Mnie jednak wydaje się, że na pewno coś mu jesteś winna. - Otworzyła usta, by mu przerwać, lecz nie zwrócił na to uwagi. - To ty wykształciłaś w nim wolę walki. Jeżeli teraz go zostawisz, może się poddać, a oboje wiemy, że daleko mu jeszcze do pełnej formy. Możesz teraz poprosić Carolanne lub którąś inną dziewczynę, żeby zainstalowała go w domu i

pracowała z nim, kiedy będzie tu jeszcze przychodził na rehabilitację, ale chyba postąpisz wtedy jak tchórz. Może się mylę, ale dla mnie nie jesteś tchórzem.

Czekał, patrzył na nią w napięciu. Jenny zaczerwieniła się.

- Myślę, że wygłosiłem już całą mowę - powiedział, zadowolony z jej reakcji. - Teraz musisz sama to wszystko przemyśleć. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł, zostawiając ją z tyloma tematami do przemyślenia, że nawet nie miał o tym pojęcia.

- Przeciwnie, jestem tchórzem - wyszeptała, kiedy właśnie zamykał za sobą drzwi.

Nie tyle uciekała od Franka, ile po prostu bała się miłości.

Głęboko w sercu wiedziała, że Otis ma rację. Nie powinna teraz zostawiać Franka samego. Jeżeli tylko starczy jej odwagi, zrobi wszystko, by doprowadzić tę sprawę do końca.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Frank stał na progu swojej prywatnej pracowni stolarskiej, nie mogąc oderwać wzroku od dwóch misternie zdobionych sekretarzyków z dębu i wiśni. Rzadko kiedy robił je w domu, lecz na te miał specjalne zamówienia i wykańczał je w wolnym czasie, żeby dotrzymać terminu. To uchroniło je przed pożarem. Zastanawiał się jednak, czy kiedykolwiek naprawdę je wykończy, czy zdoła teraz nadać zdobieniom tak wysoki poziom, jak pierwotnie zamierzał.

Przesunął wzrokiem po mniejszych, częściowo rzeźbionych drewnianych klockach leżących na wierzchu wonnych strużyn. Na jednej z półek ciągnących się wzdłuż całej ściany stały gładkie, wypolerowane kłocce. Każdy z nich uosabiał zwycięstwo artystycznej wyobraźni Franka nad przyrodą. Wszedł głębiej do pomieszczenia. Stały tam gotowe rzeźby, których widok uświadamiał mu, że już nigdy nie potrafi stworzyć niczego podobnie pięknego.

Zawsze słyszał, że początek bywa najtrudniejszy, lecz tym razem wydawał mu się niemal nie do przeżycia. Upłynęło sporo dni, zanim zdecydował się wejść tutaj. Przedtem poprosił Kevina, żeby zamknął to pomieszczenie. Omijał je z daleka. Chodził na długie spacery, w nocy myślał o Jenny i o tym, co mogła mu przynieść przyszłość, która bez tej dziewczyny wydawała się jeszcze bardziej pusta. Nadal nie mógł się pogodzić z tym, że nie przyszła do niego wtedy w szpitalu, i z jej stwierdzeniem, że nic ich nie łączy.

Myślał też o tym, co mu powiedziała o sobie i swoim bólu, i wiedział, że prawdopodobnie dlatego nie przyszła.

Kiedy dość późno wstał dziś rano, poczuł, że nie potrafi już odkładać tego, co nieuniknione. Musi wiedzieć, jaka ponura przyszłość go czeka, w jakim stopniu pozostanie inwalidą. Kiedy już się o tym przekona, może też będzie wiedział, jak ma postąpić z Jenny. Czy będzie miał odwagę jej

szukać i starać się o nią, czy będzie miał dość sił, by pomóc jej walczyć z jej własnymi demonami.

Teraz, kiedy stał w tym pomieszczeniu i przypominały mu się różne weselsze chwile, zmienił zdanie i ryzykancka próba przestała mu się wydawać dobrym pomysłem. Może lepiej nie wiedzieć, na ile niewydolne ma teraz palce? Może po prostu powinien się poddać temu, co zaoferowało mu życie, i iść w innym kierunku? Lecz w jakim? Co ma, do diabła, robić przez resztę życia, jeżeli nie to?

Od ukończenia siedemnastu lat przez długi czas miał się różnych robót, żeby pomóc rodzinie. Dopiero kiedy pieniądze, które w ten sposób zarabiał, stały się już zbędne, odważył się zabrać do tego niepewnego interesu, o którym marzył od chwili, gdy po raz pierwszy wziął do ręki kawałek drewna i ojciec, urodzony w Tennessee, nauczył go strugać. To, że odczuwa głębokie zadowolenie z takiej pracy, wiedział od pierwszego dnia terminowania u świetnego rzemieślnika. Co zrobi, jeżeli teraz okaże się, że z tym wszystkim koniec? Jak sobie z tym poradzi? Czy potrafi wrócić do tych innych zajęć, które nigdy go nie porywały?

W końcu sięgnął po nie wykończony kloc. Zacisnął na nim ręce mimo bólu i napięcia skóry, które wydawały się nie do wytrzymania. Przesunął obolałymi opuszkami palców po powierzchni drewna, głaszcząc je i pieszcząc w zagłębieniach, z których wyzierała rzeźba ptaka.

Niektórzy twierdzili, że na jego rzeźbieniach można rozróżnić poszczególne ptasie pióra. Tu jednak trzeba jeszcze było wykonać trochę tak zwanej grubszej roboty, a dopiero potem zabrać się do szczegółów. Drżącymi rękami sięgnął po dłuto. Zacisnął powoli palce na trzonku, nie stosując się do rady Jenny, by zbyt szybko nie zaczynał chwytać małych przedmiotów. Poczul więc straszny ból. Przyłożył jednak dłuto do drewna, lecz po chwili wysunęło mu się z ręki.

Z ust wyrwało mu się przekleństwo, lecz podniósł dłuto i mimo bólu i potu ciekącego z czoła, powoli próbę. Dłuto jednak znów potoczyło się po podłodze.

Wysiłek był nadludzki, lecz Frank próbował wciąż od nowa. Pot ściekał mu po plecach, ramiona i ręce wściekle bolały. A wszystko tylko dlatego, że usiłował dokonać czegoś, co kiedyś nie stanowiło żadnego problemu.

Za dziesiątym czy trzynastym razem usłyszał jakiś szelest. Odwrócił się do drzwi. Stała w nich Jenny. Po policzkach ciekły jej łzy. Na jej widok, na widok załamanej jego niepowodzeniami dziewczyny ciężar w jego piersi jeszcze spotężniał.

- Jak tu weszłaś? - spytał tępo. Ramiona mu opadły.

- Pukałam, ale chyba mnie nie słyszałeś. Spróbowałam więc nacisnąć klamkę i drzwi się otworzyły. Nie powinieneś jeszcze robić tych prób. Jest za wcześnie.

- Musiałem. Musiałem przekonać się, że zdarzyło się najgorsze.

- Powinam tu z tobą być - rzuciła jakby z poczuciem winy. W końcu podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Jesteś moim pacjentem. Powinam przyjść zaraz, jak tylko nie pojawiłeś się na wyznaczonej ci rehabilitacji.

- Dlaczego więc nie przyszłaś?

- Wydawało mi się to skomplikowane. Myślałam, że przyjdiesz za drugim razem, ale kiedy dziś się znów nie zjawiłeś, zdałam sobie sprawę, że nie mam wyboru. Dlatego jestem.

- Nie wini siebie za to, co się stało - powiedział, bo przecież sam czuł się winien. Czy wiedział, że jego nieobecność przyciągnie ją tutaj? Chyba tak. Chyba tak naprawdę to wina leżała po jego stronie. - Wiedziałem, co ryzykuję nie stawiając się w szpitalu. Ale pomyślałem, że może kilka dni nie będzie miało znaczenia.

- Chodziło o kilka dni czy o to, że w ogóle postanowiłeś nic w tej sprawie nie robić?

- Do dzisiaj nie.

- Nie pozwolę ci się poddać, Frank. - Łzy znów napłynęły jej do oczu.

Te łzy go zgubią.

- Proszę, nie płacz - błagał stłumionym głosem. Chciał pocieszyć kobietę, której jeden uśmiech był dla niego radością i pociechą. Pragnął wziąć ją w ramiona, dotykać jej, choć nie miał do tego prawa, pragnął jej pokazać, co dla niego znaczy.

Powiedziała coś, lecz po chwili potrząsnęła z rezygnacją głową.

- Do diabła - rzucił, zmuszając się do zuchwałości, mając nadzieję, że zdobędzie jej uśmiech, i że ten stan napięcia między nimi się skończy. - Przecież zawsze mogę trzymać po prostu hebel. Może bym potrafił budować domy.

- Jeszcze znów będziesz rzeźbił. Przysięgam. Wdzięczny ponad wszelkie wyobrażenie za to, że przyszła, nie potrafił jednak mówić o czymś, co może się nie spełnić. Z przekory więc zamachnął się i stracił ze stołu wszystkie narzędzia.

- Nie kłam, do cholery! Nigdy nie kłam. Pozwól mi się przyzwyczaić. Daj mi żyć tak, jak chcę.

- Co to będzie za życie - starła z policzków łzy - jeżeli nie będziesz mógł robić tego, co kochasz? Nie możesz przestać ponawiać prób.

- Mogę - upierał się. - I to zrobię.

Nabrała powietrza w płuca i wyprostowała się. Jej oburzenie mogłoby zrobić wrażenie na królach czy generałach. A co dopiero na nim.

- Nie pozwolę ci na to.

- Jenny, nic na to nie możesz poradzić - powiedział z ironią w głosie.



Zareagowała, jakby rzucił jej rękawicę: chwyciła jedno z narzędzi i wetknęła mu w rękę.

- Ściśnij, do cholery.

Przeszył go nieziemski ból, lecz instynktownie palce zacisnęły się- lekko na trzonku. Skóra piekła go jak ogień.

- Mocniej - rozkazała opierając się o niego ciałem tak, że pomyślał o czymś o wiele bardziej miękkim niż dębowe drewno, o wiele bardziej wyzywającym niż umiejętność rzeźbienia. Siła pożądania wstrząsnęła całym jego ciałem.

Ich spojrzenia spotkały się. W jej oczach była furia i upór, w jego zupełnie nowe odkrycie. Kiedy nóż o mało nie wysunął mu się z ręki, położyła dłoń na jego dłoni i pomogła mu ją zacisnąć. Frankowi stężały z bólu wszystkie mięśnie, lecz nie zwolnił uścisku, nie przyznał się, że jest bliski szaleństwa. Jenny najwyraźniej chciała mu pomóc, a on był zbyt uparty i dumny, by nie przyjąć tego wyzwania. Nie chciał też, by poszła sobie. Mimo bólu jej bliskość była słodka.

- Wiesz, jak ćwiczyć. Dziesięć minut co godzinę.

- A kto tu mnie do tego zmusi?

- Ja.

- Twoja opieka nade mną skończyła się z chwilą, kiedy wyszedłem ze szpitala.

- Akurat. - Z zielonych oczu posypały się szmaragdowe iskry. - Wyszedłeś, ale tylko pod warunkiem że będziesz nadal ćwiczył. Gdybym tu dziś nie przyszła, doktor Wilding i tak by mnie tu przysłał, bym sprawdziła, co się z tobą, do diabła, dzieje.

Mimo woli usta zadrgały Frankowi z rozbawienia. Westchnął z ulgą i w końcu zaczął się odprężyć.

- Uważasz, że twardziel z ciebie?

- To sprawdź - rzuciła z uśmiechem, który szybko znikł z jej twarzy.

- A jeżeli nie będę chciał współpracować?

- Myślę, że wolałbyś nie wiedzieć, jakie tortury mogę zadawać opornym pacjentom.

Zachichotał na myśl o torturach, jakie ta kobieta potrafi zadać, nawet o tym nie wiedząc. Miał od nich obolałe ciało.

- Naprawdę? - rzucił patrząc na jej soczyste usta.

- Chcesz mnie wypróbować?

- Panienko, zrobisz, co będziesz chciała, bo ci za to płacą.

- I mrugnął do niej, bo poczuł się o wiele lepiej, miał w sobie więcej nadziei, nawet jeśli była bezpodstawna. - A co dostanę, jak będę współpracował?

- Zabierzesz się jeszcze ostrzej do pracy.

- Miałem na myśli coś bardziej intymnego.

- Oczywiście. - I odruchowo odsunęła się od niego lekko, bo zorientowała się, że ich ciała przylegają do siebie!

Odsunęła się tylko odrobinę, lecz i tak był wściekły, że pozbawiła go swojej bliskości.

- Skończysz tego ptaka i potem możemy porozmawiać - oświadczyła.

- Rozmowa to akurat ostatnia rzecz, o jaką mi chodzi - rzucił, żeby nie było już wątpliwości, co zamierza.

Zarumieniła się, lecz spojrzała gniewnie.

- Szanowny panie - podparła się pod boki - jeżeli doprowadzi pan ręce do tak świetnego stanu, jak swoje libido, w krótkim czasie będzie pan we wspaniałej formie.

Nagle oboje naraz odwrócili się, bo od drzwi dobiegł ich chichot. Stał w nich Tim. W jego oczach widać było rozbawienie.

- Hej, braciszku, dlaczego tu mowa o libido? Myślałem, że to tylko ja uganiam się za spódniczkami.

- Słuchaj, braciszku, przerwałeś mi rehabilitację - odparł niezadowolony Frank.

- Aha, to jest rehabilitacja? Mogę się na nią zapisać? - I mrugnął do Jenny, a ona też puściła do niego oko.

Frank miał ochotę udusić ich oboje z radości, bo dzięki temu zapanowała o wiele luźniejsza atmosfera. Jeszcze kilka chwil potyczek słownych, kilka zaczepek i chwyci Jenny w ramiona, a potem może zaprowadzi do swojego ogromnego samotnego łóża po przeciwnej stronie holu. Otis, który wciąż na coś stawia i o coś się zakłada, na pewno by wygrał.

- Jeżeli nie wyniesiesz się stąd za kilka sekund, wygoni cię stąd twoja własna złamana ręka - rzucił Frank żartobliwie.

- No dobra, posiedźcie sobie razem. Ja wychodzę. Miłej zabawy - oświadczyła Jenny.

- Mówisz zupełnie tak jak nasza mama - zauważył Tim.

- Dziwisz się? Przecież zachowujecie się jak dwóch pięcioletnich brzdąców. - I spojrzała na Franka groźnie, jak rehabilitantce przystało. - Pamiętasz? Dziesięć minut co godzinę. Zrozumiano?

- Myślałaś kiedyś o pracy w wojsku?

- A po co? Przecież wystarczy, że już teraz mam dookoła pełno takich jak ty facetów, którym trzeba wydawać rozkazy. Przyjdź jutro do szpitala. I weź z sobą narzędzia. Chyba lepiej na nich ćwiczyć.

- A może by się to odbywało tutaj?

Niby propozycja wydała się logiczna, lecz wyraz przerażenia na twarzy Jenny wystarczył za odpowiedź. Nie miała zamiaru spędzać tu, w jego domu, godziny dziennie, bo wiadomo było, że rehabilitacja zejdzie na drugi plan, że przede wszystkim będzie narastało w nich pożądanie.

- Cóż, trzeba prowadzić jakąś politykę - rzuciła stanowczo, prowokując go, by jej zaprzeczył.

Lecz Frankowi nagle zabrakło energii. Cała miniona godzina była dość wyczerpująca.

- Przyjdę do szpitala - powiedział tylko. Lecz kiedy Jenny kiwnęła potakująco głową, zadowolona ze zwycięstwa,

szybko dodał: - Ale nie myśl sobie, że tam będziesz czuła się bezpieczniej.

Po raz drugi w ciągu paru minut na jej policzkach wykwitły rumieńce. Wyszła unikając roześmianego wzroku Tima i wyzywającego spojrzenia Franka.

Frank od razu opadł wyczerpany na ławkę. Wejście do tego pomieszczenia, stwierdzenie, że jest jeszcze zupełnie niezdolny do pracy, kosztowały go sporo nerwów. Tę emocjonalną huśtawkę od nadziei do poczucia przegranej okupił ogromnym zmęczeniem.

- Nic ci nie jest?

- Jestem trochę zmęczony.

- Rehabilitacją czy powstrzymywaniem się od dotykania rehabilitantki?

- Tę rehabilitantkę - uśmiechnął się ponuro - interesuje wyłącznie podniesienie sprawności moich rąk.

- To już brzmi obiecująco.

- Wielki z ciebie dowcipniś.

- No, a co ciebie interesuje? - Tim spoważniał. - Podoba ci się ta dziewczyna, prawda?

- Dlaczego miałyby mi się nie podobać? Jest piękna, błyskotliwa, opiekuńcza, łagodna i seksy. A do mnie czuje wyłącznie litość. - To ostatnie zdanie wypowiedział dla odwrócenia uwagi, lecz modlił się, żeby nie było prawdziwe, bał się przyznać, że może to cała prawda.

- Nie sądzę.

- Nie widziałeś, jaki miała wyraz twarzy, kiedy tu weszła przed godziną.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że to może być zrozumienie i współczucie, a nie litość? Wydaje mi się, że to kobieta bardzo wrażliwa. Może wyczuwa twój ból? Każdy, kto cię zna, widzi, jakie przechodzisz piekło.

Frank pragnął, by Tim miał rację. Spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Wiesz co, braciszku? Chyba cię nie doceniałem przez te wszystkie lata. Najwyraźniej kryje się w tobie romantyczna dusza, a te wszystkie flirty i zmienianie kobiet jak rękawiczek to tylko jakiś pozór. Jak się naprawdę zakochasz, to z wielkim hukiem, który będzie słychać na całą okolicę.

- Nie daj Boże. Przecież i tak dość tu mamy trzęsień ziemi.

Jenny przekonała się, że rehabilitacja Franka w szpitalu wcale nie przeszkadzała rozwojowi uczuć między nimi. Przeciągłe spojrzenia, dotknięcia palców, dzięki którym ożywało całe ciało. Jenny czuła się tak, jakby to jej uszkodzone nerwy nagle zaczynały reagować. Sama zaczęła tęsknić za tymi przypadkowymi, niewinnymi dotykami, zapominając, że właściwie miały pomagać Frankowi. Od lat nie pragnęła tak czyjejś fizycznej bliskości.

Zawsze jednak uważała, żeby w pobliżu byli inni pacjenci. A kiedy przypadkiem zdarzyło się inaczej, prosiła Carolanne, by posiedziała w sali, zajmując się porządkowaniem papierów.

- Czego się boisz? - pytała Carolanne. - Frank staje się zbyt bliski? Burzy ten twój mur rezerwy?

- Tak, chyba o to chodzi.

- Ale co w tym strasznego?

- No właśnie - odezwał się dobrze znajomy głos. - Co w tym strasznego? Przecież miły ze mnie facet.

Jenny, czerwona po uszy, odwróciła się i zobaczyła, że Frankowi śmieją się oczy. Carolanne czmychnęła do drzwi.

- Zdrajczyńni - mruknęła Jenny.

I natychmiast zajęła się pacjentami. Wydawała polecenia, unikała spojrzenia Franka, udawała, że nie słyszy, jak wali jej serce.

- Co robiłaś wczoraj wieczorem? - spytał swobodnie, zaczynając wykonywać ćwiczenia.

Zerknęła znad papierów, które właśnie porządkowała, i spojrzała na niego. Na ogół nie zadawał jej osobistych pytań.

- Co mówisz?

- Spytałem, co robiłaś wczoraj wieczorem.

- Dlaczego pytasz?

- O co ci chodzi? - Uśmiechnął się. - Przecież to stereotypowe pytanie wśród znajomych. Podobne do powiedzenia: „Cześć, co słychać?” A więc, co robiłaś?

Musiała się zastanowić, by sobie przypomnieć, co wypełniło jej długie samotne godziny.

- Czytałam artykuł o tym, na ile konieczne jest unikanie ewentualnej infekcji przy poparzeniach.

- Ale nudne - skomentował z uśmiechem na ustach.

- Przeciwnie, to było fascynujące. - I zaczęła w panice wyliczać najbardziej interesujące problemy poruszone w artykule. Żałowała tylko, że był taki krótki.

- I tak nie brzmi to zbyt interesująco - powiedział, kiedy skończyła. - Jak to się stało, że nie miałaś randki?

- Co się tak nagle zainteresowałeś moim życiem prywatnym?

- Zawsze nim się interesowałem. Tylko nigdy nie zadawałem pytań.

- Dlaczego więc zadajesz je teraz?

- Chcę wiedzieć, jaką mam konkurencję.

- Nie ma konkurencji. Nawet nie startujesz - skłamała.

Sceptyczny wyraz oczu Franka też mówił, że przejrzał jej kłamstwo. Być może inny mężczyzna na jego miejscu poczułby się dotknięty, lecz on postanowił zinterpretować jej słowa inaczej.

- Zobaczymy - powiedział łagodnie.

Straciła trochę głowę, nie chcąc jednak przed nim się zdradzić, wstała i spytała pewnym siebie tonem:

- Dlaczego to robisz?

- Co?

- Próbujesz zmienić nasze spotkania w coś osobistego. Nie mogę tak dalej z tobą pracować. Będę musiała przekazać cię Carolanne.

- Hm - mruknął - to nawet interesujące.

- Bo?

- Kiedy przestaniesz być moją rehabilitantką, będziesz mogła spotykać się ze mną prywatnie. Dobrze to rozumiem?

Jenny poczuła się tak, jakby spadała z drapacza chmur ze świadomością, że na dole nikt nie trzyma zabezpieczającej siatki.

- Wręcz przeciwnie. Zupełnie opacznie.

- Wiesz, co się mówi o paniach, które się zbytnio opierają?

Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Miała ochotę go uderzyć, lecz zdawała sobie sprawę, jak mógłby to zinterpretować.

- Ja się nie opieram, kochasiu - powiedziała spokojnie. - Tylko stwierdzam fakt. Łączy nas wyłącznie twoja rehabilitacja. Nic więcej. Czy teraz naprawdę do końca to rozumiesz?

Roześmiał się radośnie, czego się w ogóle nie spodziewała.

- Oczywiście, do końca. - I znów się uśmiechnął. Dlaczego mimo jego pogody i uśmiechów nagle zdała sobie sprawę, że przegrała niebezpieczną ostatnią rundę?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dobiegała końca trzecia wizyta Franka w szpitalu. Rehabilitacja przebiegała zgodnie z planem.

- Mogłabyś mi trochę pomóc w kuchni? - spytał Jenny. - Oczywiście, jeżeli masz czas.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Zdumiewające, jak mu nie dowierzała.

- To znaczy, w czym?

- Wciąż wypadają mi z rąk te małe pojemniczki do mikrofalówki. No i często moja kolacja ląduje na podłodze.

Starał się, żeby zabrzmiało to naprawdę żałośnie, tak by nie można było mieć wątpliwości, że jeszcze bez pomocy umrze z głodu. Najwyższy czas podjąć na tyle radykalne kroki, by Jenny zaczęła mu ufać poza salą rehabilitacyjną. Chwilowo nie będzie się jednak zastanawiał nad tym, jak Jenny zareaguje, kiedy zobaczy, że użył podstęp.

- A mama czy Karyn nie mogą ci pomóc? Może bracia, na zmianę?

Oczywiście, że wszyscy już mu pomagali, lecz przecież nie może się przed nią do tego przyznać. Potrzebował jej towarzystwa. Potrzebował uczucia absolutnej lekkości, jakie ogarniało go, gdy była przy nim czuła Jenny z całym swoim optymizmem. Chciał dzielić się z nią tą energią, która się uruchamiała, kiedy byli razem. A najbardziej tęsknił do chwil, kiedy samo wejście Jenny do pokoju powodowało, że odczuwał niecierpliwość, że trawił go żar i krew pulsowała szybciej.

- Mama przynosi mi różne rzeczy na obiad, ale kładzie je tak, że potem mam z nimi problem. A nie chcę jej jeszcze bardziej martwić. Karyn z kolei wyjechała z Bradem. Ale i tak niespecjalnie dobra z niej kucharka.

- Przecież masz jeszcze pięciu braci.



Frank był jednak przygotowany na tego rodzaju dociekliwość.

- Tim pracuje wieczorami, a w dzień się uczy. Jared właśnie zaczął malować dom sąsiadowi. Pozostali pomagają mi jak mogą, ale chcę być trochę bardziej niezależny. Nie lubię, kiedy inni czują się tak bardzo zobowiązani. Jeżeli więc pomogłabyś mi urządzić kuchnię tak, bym mógł łatwiej używać różnych przedmiotów, to sam zacząłbym sobie radzić. Za kilka tygodni miałbym już za sobą ten najgorszy okres, prawda?

Znów stała się podejrzliwa. Wiedział jednak, że jednocześnie naprawdę nie jest pewna, czy on jada porządne kolacje.

- Przyjdę dziś wieczorem - powiedziała w końcu. - Około szóstej.

- Jak ci wygodniej. I wciągnij to do mojego rachunku za rehabilitację.

- Daj spokój. Nie przesadzaj.

- Ale ja mówię poważnie. Przecież to twój zawód. Nie chcę cię wykorzystywać. Wiem, jak ci zależy na tym, byśmy przestrzegali zasad.

Brzmiało to tak honorowo, że Jenny powinna mu uwierzyć. Mimo to jednak dość długo się nie odzywała, waząc każde jego słowo.

- Możemy razem zjeść tę kolację. To mi wystarczy jako wynagrodzenie - odparła w końcu. Powiedziała to spokojnym tonem, lecz już czuła podniecenie na myśl o tym, że będą siedzieli naprzeciw siebie i spożywali posiłek. Nie patrzyła na Franka.

- No to wspaniale - rzucił z odrobiną za wielkim entuzjazmem. Musiał więc to skorygować, zwłaszcza że Jenny spojrzała podejrzliwie. - To znaczy, jeżeli starczy ci czasu.

- Starczy - odparła krótko. - Chcesz, żebym coś kupiła, czy masz wszystko w domu?

- Uwielbiam niespodzianki - powiedział patrząc na nią tak, że przeszył ją dreszcz. Ton głosu też miał podejrzenie uwodzicielski. - Naprawdę uwielbiam niespodzianki.

- Frank... - upomniała go.

- Tak?

- Nieważne - westchnęła. - Będę o szóstej i przyniosę zakupy.

- Sięgnij więc do mojej kieszeni i wyciągnij mi, proszę, portfel. Powinno wystarczyć.

Zrobiła taką minę, jakby jej zaproponował, by poszli się natychmiast kochać na dole w schowku na bieliznę.

- Dziś ja funduję - rzuciła szybko, cofając się o krok.

- Nie zgadzam się. Jak możesz fundować, jeżeli miałem ci się zrewanżować tą kolacją. - Spojrzał jej w oczy możliwie najniewinniej. - Portfel jest w tylnej kieszeni. - I odwrócił się tyłem do niej.

Jenny zgodziła się, lecz poczuła się jak złodziej kieszonkowy. Z tym że tylko wytrawny złodziej potrafi wyciągnąć portfel jednym zręcznym ruchem, nie dotykając okradanego. Ona tego nie potrafiła, a poza tym kieszeń była naprawdę ciasna.

Frank poczuł jej dotyk i serce podskoczyło mu do gardła. Niezręczny gest był dla niego największą z pieśczot. Poczul, że płonie. Drgał w nim każdy nerw. Drżał jeszcze wówczas, gdy Jenny trzymała już portfel w ręku i wyciągała z niego dwudziestodolarowy banknot. Jeżeli doznała podobnego wstrząsu, to starannie to ukrywała, i Frank nie wiedział, kto wygrał tę zwodniczą potyczkę nerwów.

Kiedy jednak Jenny podniosła wzrok, miał pewność, że to on zwyciężył. Wsunęła mu portfel z powrotem tak zamaszyście, że dziwne, iż nie naderwała kieszeni.

- Do zobaczenia o szóstej - rzuciła i wybiegła z sali. Szedł korytarzem uśmiechając się do siebie. Chciał poszukać Pam. Wpadał do niej zawsze, by ją trochę rozerwać. Była w swoim pokoju, miała nastawiony telewizor, ale leżała odwrócona do ściany.

- Jak się masz, ślicznotko?

Lecz nie odpowiedziała, jak zwykle, łobuzerskim uśmiechem, tylko nadal patrzyła na ścianę. Zobaczył, że dziewczynka nie ma już bandaży na głowie. Dostrzegł czerwoną napiętą skórę na jej policzku i poczuł, że ściska go w gardle. Nabrał więc powietrza w płuca, chwycił krzesło i przeszedł z nim na drugą stronę łóżka.

- A gdzie uśmiech dla mnie? - spytał patrząc jej w oczy. - Myślałem, że się ucieszysz z moich odwiedzin.

Usiłowała odwrócić się od niego, lecz przytrzymał ją za ramię.

- Nie rób tego.

- Ale to takie straszne - wyszeptała i łza pociekła jej po policzku. Naciągnęła sobie na twarz poduszkę, ledwie więc było słyhać, co mówi. - Nie miałam pojęcia, że moja twarz stanie się taka okropna. Widziałam innych chorych, ale myślałam, że ze mną będzie inaczej.

Frank przysiadł na krawędzi łóżka, odrzucił poduszkę i zmusił Pam, by na niego spojrzała. Rozłożył zapraszająco ramiona i dziewczynka wtuliła się w nie ze szlochem.

- Nigdy nie będę miała znajomych ani przyjaciół. Nigdy. I nie będę się im dziwiła. Kto by chciał patrzeć na coś takiego?

- Ja - rzucił, poruszony do głębi. - A wiesz dlaczego? Bo to, co w tobie ważne, wcale się nie zmieniło. W środku jesteś taką samą wspaniałą, zabawną i uroczą dziewczynką. Wiesz, co kiedyś powiedziała mi Jenny?

- Co?

- Że to, jak inni traktują nasze niedoskonałości, zależy wyłącznie od nas samych. Jeżeli więc będziesz dzielna i skoncentrujesz się na tym, jak piękne masz wnętrze, twoi znajomi też to dostrzegą.

- Naprawdę tak myślisz? - Spojrzała na niego z nadzieją.

- Wiem, że to prawda - odparł mając nadzieję, że jest zaprzyjaźniona z osobami, które nie będą tak okrutne, żeby ją teraz opuścić.

- Nawet mój tata nie może na mnie spojrzeć.

- Dziecinko, jestem pewien, że to nieprawda.

- Ale to jest prawda. Był tu, kiedy doktor Wilding zdejmował mi opatrunek. Wszedł i dotąd się nie pokazał. A minęło kilka godzin.

Frank przeklinał tego mężczyznę za brak wrażliwości. Oczywiście, że ojciec Pam mógł być wstrząśnięty wyglądem córki, która przed wypadkiem była śliczna, lecz tak się nie postępuje.

- Myślę, że twój tata cierpi z powodu tego, co ci się stało - powiedział w końcu. - Może nawet wyrzuca sobie, że nie potrafił temu zapobiec.

- Ale pożar nie wybuchł przecież z jego winy - odparła. - Nawet go wtedy nie było w domu. Był w podróży służbowej.

- No właśnie. Może uważa, że gdyby był wtedy w domu, nic by się nie stało.

- Zawsze mówił mamie, żeby nie paliła w łóżku papierosów - powiedziała szlochając. Popatrzyła mu bezradnie w oczy. - O Boże, po co to w ogóle zrobiła? Dlaczego go nie słuchała? - Dziewczynka łkała coraz bardziej. - Dlaczego musiała umrzeć? Chciałam się do niej przedostać, ale nie mogłam, po prostu nie mogłam.

Frank zmartwił. Nie wiedział o tym wszystkim, co mu teraz Pam opowiedziała, nie wiedział, co dokładnie się wydarzyło tamtej nocy, po której dziewczynka ma teraz te

okropne blizny. Nie miał pojęcia, jakie ona przeżywa katusze. Jego własne obrażenia okazały się nagle nic nie znaczące. Po raz pierwszy od swojego wypadku zdał sobie sprawę, jakie miał szczęście. Pam na skutek pożaru nie tylko straciła urodę, lecz również matkę.

Bardzo długo pozostał w pokoju dziewczynki. Kołysał ją i tulił w ramionach, żałując, że nie istnieją słowa, które mogłyby ją naprawdę zapewnić, że wszystko będzie dobrze. W pewnej chwili zauważył, że w drzwiach pokoju stoi mężczyzna. Był tylko odrobinę starszy od niego, twarz miał ściągniętą, oczy podkrążone. Dał mu znak ręką.

- Kochanie - powiedział Frank - masz towarzystwo. Pam spojrzała w stronę drzwi.

- Tatusiu! - zawołała głosem, w którym słycać było nadzieję i strach.

Lecz tym razem ojciec nie odwrócił wzroku. Podeszedł do łóżka, wziął córkę za rękę i przycisnął usta do pokrytej bliznami skóry.

- Przepraszam, dziecinko, że uciekłem.

- Och, tatusiu.

Frank zostawił ich samych, modląc się tak, jak nigdy w życiu, żeby ci dwoje znaleźli nawzajem w sobie pocieszenie.

Kiedy tuż po szóstej przyszła do niego Jenny, nadal był przygnębiony. Wprowadził ją do kuchni, wskazał, co gdzie stoi, i usiadł przy stole, by na nią patrzeć. Natychmiast zabrała się do roboty. Poruszała się w sposób naturalny, lecz jemu mimo wszystko wydawał się on odrobinę prowokujący. Udzielał mu się jej prawdziwy spokój i był on dziś ważniejszy niż to, co Frank zawsze zaczynał czuć w chwili, gdy Jenny pojawiała się w pobliżu. Był ważniejszy niż uczucie żarliwej tęsknoty.

Obiad już się gotował. Jenny naląła im po filiżance mrożonej herbaty i usiadła naprzeciw Franka. Spojrzała na niego pytająco.

- Jesteś dzisiaj jakiś milczący. Co się dzieje?

- Po wyjściu od ciebie widziałem się z Pam.

- Słyszałam, że regularnie ją odwiedzasz. - Skinęła głową. Nagle na jej twarzy pojawiło się zmęczenie.

- Tak, mówiła, że miała dziś okropny dzień, ale że twoje odwiedziny bardzo jej pomogły.

- Ale czy naprawdę są szanse, że jakoś z tego wyjdzie?

- To musi potrwać. Czeka ją kilka operacji plastycznych.

- Biedna dziewczynka - westchnął. - Powinna może też przejść psychoterapię. Nie miałem pojęcia, z czym musi się uporać.

- Psycholog był już u niej kilka razy. Pam z tego wyjdzie. Potrafi walczyć. Upora się ze świadomością, że jest oszpecona, i będzie walczyła dalej.

- Ja też jej to mówiłem. Cytowałem twoje słowa.

- Cieszę się, że jakieś moje słowa zrobiły wrażenie.

- Uśmiechnęła się.

- Wszystko, co do mnie mówiłaś, robiło na mnie wrażenie.

Tylko nie wszystkiego chciałem słuchać.

- Tak to już bywa z poparzonymi.

- Jenny, jak ty dajesz sobie z tym radę na co dzień? Wiem, że już rozmawialiśmy na ten temat, ale dopiero teraz zaczynam rozumieć, ile to musi kosztować.

- Ja zajmuję się tym, ty jesteś artystą. Potrafisz sobie wyobrazić, że mógłbyś być kimś innym?

- Chyba nie, chociaż od czasu do czasu robiłem coś innego, by zdobyć trochę pieniędzy.

- No tak, ale to były tymczasowe zajęcia. Liczy się ta jedyna najważniejsza droga, jaką się wybiera. Wydaje mi się, że moja własna operacja pomaga mi lepiej rozumieć chorych.

Wiem, jak się boją, wiem, jacy się czują zniszczeni lub niekompletni.

Zdziwiło go, że wspomniała o swojej operacji, bo zrobiła to po raz pierwszy od tamtego dnia. Chciał, by mówiła dalej, bo pewnie miała mnóstwo do opowiadania, a nigdy tego nie robiła.

- Komu mogłaś się wtedy wypłakać na ramieniu? Wsypała łyżeczkę cukru do herbaty i mieszała tak długo, aż pomyślał, że mu nie odpowie.

- Rodzinie, przyjaciółom - odezwała się w końcu z udawaną nonszalancją. - Był też Otis. Sanitariusze na ogół odwożą cię na salę operacyjną i tam zostawiają, ale on towarzyszył mi do momentu, kiedy mnie uśpili. Zawsze będę mu za to wdzięczna.

- Twoich rodziców nie było przy tobie? - nie potrafił ukryć zdumienia.

- Nic im nie powiedziałam. Dopiero kiedy było już po wszystkim. Po co miałam ich martwić? Przecież nic nie mogli pomóc.

- Mogli tu być, po prostu być z tobą. - Patrzył na nią z niedowierzaniem. - Po to jest rodzina. Po to, by pomagać sobie w trudnych chwilach.

- Taka jest twoja rodzina. - Uśmiechnęła się blado. W głosie jej była nuta zazdrości. Frank chciał w tej samej chwili powiedzieć Jenny, że ta rodzina może się natychmiast stać i jej rodziną. Przemknęło mu to przez myśl z szybkością samochodu wyścigowego. Wiedział, że właśnie tego pragnie dla niej. Chciał się z nią ożenić i nauczyć ją, co to znaczy rodzina, miłość i śmiech, tak jak ona nauczyła go, co to znaczy walczyć i wyzdrowieć. Wprawdzie stan jego ran fizycznych był jeszcze nie najlepszy, lecz rany zadane jego psychice prawie już się wyleczyły. Wiedział, że jeżeli nawet nie będzie mógł już nigdy rzeźbić, to obecność Jenny może

mu to wynagrodzić. Że przy niej poradzi sobie ze wszystkim, co przyniesie przyszłość.

Wiedział też jednak, że jeżeli teraz o tym wspomni, ona ucieknie. Nie miał pojęcia, dlaczego tak się go boi. Nigdy nie znał takiej płochliwej kobiety. Megan czuła się z nim i jego rodziną całkiem pewnie. A kilka innych kobiet, które traktował dość poważnie, bardzo szybko przystawało na związek.

Nie dlatego, że był takim łakomym kąskiem, lecz większość kobiet po prostu nie uważała go za osobę specjalnie skomplikowaną i wcale się go nie bała. Na ogół był otwarty i szczerzy. Ta bezpośredniość zjednywała mu kobiety, które przedtem niewiele jej zaznały. Z Jenny wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Nie mógł zrozumieć, skąd w niej ta nieufność. Czy ma ją tylko w stosunku do niego, czy do wszystkich mężczyzn? Musi to wiedzieć, bo bez tego nie posuną się naprzód ani o milimetr.

Wróciła do przyrządzania obiadu. Zaczęła zwijać ciasto.

- Był lub jest ten ważny mężczyzna w twoim życiu? - spytał lekkim tonem, rozpoczynając temat, który kiedyś przerwała zdecydowanie.

- Chyba już o tym rozmawialiśmy.

- Tak, ale twoja odpowiedź nie była specjalnie jasna.

- A dlaczego chcesz to wiedzieć? - Wbiła szpilkę w ciasto z takim przekonaniem, że nad blatem pojawił się obłok mąki. Unikała wzroku Franka. Po raz pierwszy w życiu tak fascynowało ją ciasto.

- Z ciekawości - powiedział szczerze.

- Raczej z wścibstwa.

- No to spróbujmy od innej strony. Jak spędzasz wieczory? Przecież nie czytujesz codziennie pism medycznych.

- Mogłabym, ale rzeczywiście tego nie robię.

- To co robisz?



- Chodzę do kina. - W jej głosie usłyszał wahanie.  
- Świetnie. Coś się wyjaśnia. Ja też lubię kino. - I wymienił kilka tytułów filmów. Nie widziała ani jednego. - A na jakim byłaś ostatnio?

Zmarszczyła brwi i wymieniła tytuł.

- Aha, zdobył nagrodę Akademii.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - I dodał: - W ubiegłym roku.

- Och - jęknęła i jeszcze bardziej zainteresowała się ciastem. Jeżeli skręci je w jeszcze węższą rolkę, nie pomoże mu żaden proszek do pieczenia.

- No więc jak dotychczas ustaliliśmy, że w ubiegłym roku przez jeden wieczór nie zajmowałaś się czytaniem pism specjalistycznych. Robiłaś jeszcze coś innego?

- Chodziłam na aerobik - rzuciła pośpiesznie.

- I?

- Co: i?

- No, co jeszcze? Przecież jeszcze coś musiałaś robić. Kobieta tak aktywna towarzysko jak ty?

- Po zajęciach chodzimy do restauracji.

- Chodzimy?

- Ja z drugą osobą.

- Na pewno to kobieta.

- Dlaczego koniecznie kobieta? - Spojrzała na niego gniewnie. - Mężczyźni też chodzą na aerobik.

- Ale gdyby to był mężczyzna, już dawno byś mi kazała zamknąć się i zostawić cię w spokoju.

Zlekceważyła jego komentarz. Wykroiła sześć płaskich krążków, ułożyła na formie do pieczenia i wsunęła do piecyka.

- Lepiej się udadzą, jak włączysz ten piecyk. Odwróciła się do niego na pięcie, podparła brudnymi od mąki rękami pod boki.

- Wiesz, że naprawdę nie muszę tego robić.

- Wiem - odparł bardzo poważnie. - To dlaczego to robisz?  
Dlaczego przyszłaś?

- Bo mnie prosileś. Mówiłeś, że potrzebujesz pomocy.

- Potrzebuję ciebie.

Potrząsnęła przecząco głową, nie mogąc nic powiedzieć.

- Naprawdę - potwierdził. - Właściwie to myślę, że jeżeli zaraz nie pocałuję tej smugi z mąki na twoim nosie, to chyba umrę.

Wpatrywała się w podłogę. Musiał podejść. Wziął ją za brodę i zwrócił jej wzrok ku sobie. Patrzyła prowokująco.

- No to zrób to - powiedziała wyzywająco. - Zrób to i będziesz miał z głowy.

Uśmiechnął się, bo usiłowała zmiażdżyć go wzrokiem.

- Nie uda ci się mnie odsunąć wmawiając mi, że chcę cię zmusić do czegoś, czego sama nie chcesz.

- A kto mówi, że nie chcę? - westchnęła z ociąganiem.

. Frank aż cofnął się ze zdumienia, że przestała z nim walczyć.

- Och, Jenny - mruknął przyciągając ją do siebie.

Też westchnął głęboko i dotknął ustami jej ust. Przez ułamek sekundy stali tak bez ruchu, aż Jenny zarzuciła mu ramiona na szyję. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Jej ciepło i zapach wiosennych kwiatów obezwładniły go. Smakowała herbatą z cukrem i miałką mąką. Nawet gdyby trzymał ją tak w ramionach przez całe życie, nigdy by się nią nie nasycił.

Przesunął palcami wzdłuż linii jej brwi, po zarysie szczęki. Drżała za każdym razem, kiedy jej dotykał. Pożądał jej coraz bardziej. Jeden pocałunek nigdy nie wystarczy. Chciał wiedzieć o niej wszystko, poznać wszystkie załomy jej ciała i zakamarki duszy. Położył rękę na jej biodrze. Czuli się uniesieni wysoko, wysoko, czuli żar, trawiła ich niecierpliwość. Nagle, chcąc poznać w niej jeszcze więcej,

każdy kształt i wypukłość, dotknął jej piersi. Była to pieśczoła tak naturalna, jak potrzeba oddychania powietrzem.

Wydała gwałtownie okrzyk i wyrwała mu się z objęć.

- Nie - wymamrotała cofając się. - Nie. To nigdy.

I wybiegła.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Frank zdał sobie sprawę, co właściwie zrobił, zaczął siebie przeklinać za to, że zachował się jak pozbawiony wszelkiego wyczucia głupiec. Było już jednak za późno, bo spłoszona jego dotykami Jenny zdążyła wybiec z domu, pozostawiając za sobą otwarte drzwi. Wybiegł za nią i zobaczył, że pędzi dalej ulicą zapomniawszy o samochodzie. Ruszył w pogoń.

Dogonił Jenny na rogu. Stała pod latarnią, splotła ręce kuląc się z zimna, bo wieczory w San Francisco potrafią być chłodne nawet w maju. Stała całkiem nieruchomo, jakby zupełnie nie mogła się zdecydować, co dalej robić, dokąd iść. W srebrnym, prześwietlającym mgłę świetle wyglądała na zagubioną i samotną. Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, lecz odsunęła się gwałtownie. Włożył więc rękę do kieszeni i stał bezradny nie wiedząc, co zrobić, bo przez cały czas czuł, że ona cierpi.

- Jenny, proszę cię - powiedział pospiesznie. - Przepraszam, nie chciałem cię zranić. Nie myślałem wtedy. Po prostu pragnąłem cię i myślałem, że ty mnie też pragniesz. Porozmawiajmy o tym, co się stało, o tym, co cię tak przeraziło. Przecież możemy się porozumieć.

- Nie ma o czym rozmawiać - rzuciła. - Nic mnie nie przeraziło.

Pustka, jaką wyczuwał w jej tonie, wstrząsnęła nim, lecz jeszcze gorsze było jej zamknięcie się w sobie. Jak przedrzeć się przez tę zaporę?

- Wróć przynajmniej ze mną do domu. Jest za zimno, by tu stać.

Rzeczywiście zadrzała, jakby na potwierdzenie jego słów. Postanowił więc nalegać.

- Przysięgam, że jeżeli nie będziesz chciała, nie wrócę do tego tematu. I że cię nie dotknę, jeżeli uważasz, że tak będzie lepiej.

W jej spojrzeniu dostrzegł niedowierzanie i znów przeklął siebie w duchu. Ile zniszczył przez ten jeden moment zapomnienia? Chcąc poznać dokładnie wszystkie szczegóły jej ciała, musiał jej przypomnieć o tym, że jest niedoskonała jako kobieta. Zapomniał, że przy pierwszym zbliżeniu powinien bardzo delikatnie z nią postępować. Powinien być tak czuły i subtelny jak ona, gdy dotykała jego blizn.

Teraz mógł tylko się modlić, żeby wyrządzone szkody można było naprawić. W końcu dostrzegł, że przeszywa ją dreszcz. Zaczęła bez słowa iść przed siebie. Wstrzymał oddech i rozluźnił się dopiero wtedy, kiedy nie przystanąła przy swoim samochodzie.

Zatrzymała się przed jego domem i spojrzała w górę. Jej smutną twarz stopniowo rozjaśniał uśmiech.

- Zrobiłeś to - powiedziała drżącym głosem, a z oczu pociekły jej łzy. - Pomalowałeś dom na niebiesko. Nie zauważyłam tego, kiedy przyszłam.

- Jared skończył wczoraj. To ty wybrałaś kolor, pamiętasz?

- Miałam rację - stwierdziła.

- Że co?

- Że jest taki jak twoje oczy.

- Ach, to o tym rozprawiała Karyn - zachichotał. - Domyśliła się?

- Nigdy mi nic na ten temat nie powiedziała, ale chyba tak.

- Masz jednak w sobie coś z romantyczki.

Natychmiast potrząsnęła przecząco głową.

- Przeciwnie, jestem zatwardziałą realistką. Spytaj kogokolwiek.

- Lubisz w to wierzyć, bo tak jest bezpieczniej, ale to nieprawda. Marzysz o tym samym, co wszystkie kobiety.

- Skąd ta pewność, że wiesz cokolwiek na temat kobiecych marzeń, a zwłaszcza moich? - spytała lekko gniewnym tonem, lecz w jej oczach malowała się tęsknota.

- Wiem, bo podzieliłaś się ze mną swoją tajemnicą, kiedy się całowaliśmy. Czuliśmy to samo: że nie chcemy być sami, że potrzebujemy miłości.

- To tylko chemia - rzuciła wyzywająco. - Chemia i pożądanie. Nie marzenia.

- Przeciwnie - stwierdził z przekonaniem. - Taka kobieta jak ty nigdy by tego nie pomyliła. Nigdy byś nie dopuściła tak blisko jakiegoś przelotnego kochanka. Nie podjęłabyś ryzyka, że może cię odrzucić. - Powiedział ze świadomością, że właśnie teraz, wykładając to wszystko tak otwarcie, on sam może zostać odrzucony.

Przez chwilę Jenny wyglądała tak, jakby ją uderzył. Aż nagle wybuchnęła śmiechem.

- Chcesz, bym poznała smak mojego własnego lekarstwa? Żaden mężczyzna nigdy nie rozmawiał ze mną tak otwarcie.

Patrzył na nią przez dłuższy czas, a potem wyciągnął do niej rękę.

- Może żadnemu aż tak nie zależało na tobie - powiedział czule. - Wejdźmy do domu.

Zawahała się. Minęło dziesięć sekund, trzydzieści, cała wieczność, aż wreszcie westchnęła głęboko i wsunęła rękę w jego dłoń.

Frank bardzo uważał, żeby to ona teraz nadawała ton ich spotkaniu, żeby to ona dyktowała tempo. Lody topniały powoli, lecz w końcu zaczęli pękać ze śmiechu z twardych jak kamienie ciastek. Wypili wspaniałą rosół i rozmawiali o starych filmach, jedynych, jakie Jenny widziała. Potem o sporcie. Ku zdumieniu Franka okazało się, że Jenny jest

zapalonym kibicem piłki nożnej i baseballu. Niestety, kibicowała innym drużynom niż on.

- Mam nadzieję, że nie stawiasz na nie, kiedy Otis zbiera zakłady - droczył się z nią, szczęśliwy, że znów rozmawiają żartobliwym tonem.

- Ja w ogóle nie korzystam z jego usług - przypomniała mu. - Chociaż usiłował mnie kiedyś przekonać, że zrobię na tym wspaniały interes. Jak, do diabła, można z nim zrobić interes?

- Biorąc pod uwagę twój stosunek do hazardu, chyba lepiej, byś tego nie wiedziała. Pewnie skonfiskowałabyś mu książeczkę czekową i kazała żyć z zapomogi.

- Nie wyobrażam sobie, jakby to było możliwe. Zaśmiała się, a potem powiedział poważnym tonem:

- Chyba nie wiesz, jaka możesz być przekonująca. Myślę, że potrafisz namówić mężczyznę do wszystkiego.

Zdumiało ją to, co powiedział, ale po chwili na jej twarzy odmalowało się zadowolenie. Długo wytrzymała jego spojrzenie, po czym nagle wstała.

- Nawet do pomocy przy zmywaniu? - spytała z pośpiechem, który właściwie wziął się z głęboko zakorzenionej ostrożności. Nie będzie mu łatwo. Jenny na pewno nie zmieni się w ciągu jednego wieczoru, nie zacznie nagle ufać mu bezgranicznie ani nie przestanie przybierać maski szorstkiej, sprawnej zawodowo kobiety.

Pokazał jej swoje niesprawne palce.

- Nie mam w domu dostatecznie dużo talerzy, żeby się w to bawić.

- Jakbyś naprawdę chciał, to byś dał sobie radę - odpaliła żartobliwym tonem, który dodawał jej pewności siebie. - Ale przypomniałam sobie, że masz awersję do zmywania. Chyba więc teraz korzystasz z pretekstu.

- Nigdy się tego nie dowiesz - zaśmiała się.

- Może nie. - I w tej samej chwili wypuściła z rąk talerz.

Frank rzucił się, by go złapać, co z jego refleksem udało się bez problemu.

- No i widzisz?! Wygląda na to, że doszedłeś już do o wiele lepszej formy, niż chcesz pokazać.

- Ty zmijko! - mruknął. - Zrobiłaś to specjalnie, by mnie wypróbować.

- Pewnie - powiedziała z uśmiechem. - A teraz ty zmywasz, ja wycieram.

Po raz pierwszy w życiu zmywanie nie sprawiło mu przykrości. Miał ochotę nawet wyciągać z szafki wszystkie naczynia po kolei tylko po to, by Jenny została dłużej. Wiedział, że gdy skończą, pójdzie do domu uciekając przed swoimi uczuciami, goniąc za iluzją poczucia bezpieczeństwa.

No i tak się stało. Zanim zdążył wypuścić wodę ze zlewu, już stała w zakiecie i z kluczykami w ręku. Wiedział, że spieranie się z nią to strata czasu.

- Odprowadzę cię do samochodu.

Żałował, że może tylko stać obok, że nie potrafi otworzyć jej drzwiczek. Wsiadła.

- Dzięki za ten wieczór - powiedział, kiedy opuściła szybę.

Skinęła głową i zwróciła się do niego, jakby w oczekiwaniu na pocałunek. Pochylił się więc i musnął ustami jej wargi walcząc ze sobą, by nie przedłużyć tej pieśzcoty.

- To nie koniec, proszę pani. Bynajmniej. Ruszył ulicą pogwizdując pod nosem. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał, że Jenny odjeżdża.

Kiedy leżał nie mogąc usnąć, podjął pewne postanowienie. Instynktem mężczyzny, który przywykł dbać o innych, wyczuł u Jenny delikatność, kruchość i brak poczucia bezpieczeństwa, ukryte pod stalowym pancerzem. Zdał sobie po raz pierwszy sprawę, że jej walka z samą sobą po operacji była o wiele bardziej skomplikowana niż ta, którą on toczy po swoim



wypadku. Jenny nauczyła go akceptacji i walki. On nauczy ją radosnej miłości, która nie stawia warunków. Wprawdzie wiedział, że nie ma teraz jeszcze zabezpieczonej finansowo przyszłości, lecz da jej przynajmniej to, co może.

Zacznie od czułych, przekonujących pocałunków. Widział w oczach Jenny ogromną tęsknotę za uczuciem. Wiedział też, że Jenny oddawała mu pocałunki. Nadal to będzie robiła. Musi po prostu zalecać się do niej w trochę staroświecki sposób.

Może, pomyślał z niechęcią, młodszy, doświadczony brat udzieli mu kilku wskazówek.

Nazajutrz spotkał się z nim na lunchu. Tim był zachwycony, że może wystąpić jako ekspert. Podobnie było z Kevinem, Jaredem, Peterem i Danielem, którzy pojawili się całą czeredą. Wieść o tym, że najstarszy brat ma ciągoty do rehabilitantki, już dawno rozeszła się po całej rodzinie z szybkością błyskawicy. Nawet Karyn zadzwoniła przed kolacją z Indianapolis, gdzie była z Bradem. Chciała wtrącić swoje trzy grosze.

- Wiedziałam - mówiła z entuzjazmem. - Wiedziałam, że szaleje za tobą już wtedy, gdy wyszła z twojego pokoju zdenerwowana, że nie chcesz poddać się rehabilitacji.

Frank jęknął i chciał odłożyć słuchawkę, lecz jednocześnie nie miał ochoty dać Karyn tej satysfakcji.

- Karyn, wtedy ta kobieta spędziła ze mną dokładnie piętnaście minut i nie wyglądałem specjalnie czarująco. Nie sądzę, bym wtedy powalił ją z nóg. Myślę, że była po prostu wściekła.

- Ach tam. Gniew czy namiętność to to samo - rzuciła na odczepnego. - To silne uczucia. Ludzie często je myślą.

- Jeszcze tak pogadasz ze mną przez pięć minut, a namiętnie rozgniewam się na ciebie.

- Nie strasz mnie. Czas, byś spłacił długi. Ty zawsze wtrącałeś się w życie nas wszystkich. Teraz twoja kolej.

Pamiętasz, jak wtargnąłeś do hotelu Brada, by ratować swoją kochaną siostrzyczkę przed jego pazurami?

- Trudno to zapomnieć.

- W życiu nikt mnie tak nie upokorzył. Nie spocznę, dopóki nie wyrównam tego rachunku.

- Ten facet wtedy skłamał, że cię tam nie ma - przypomniał jej. Nadal mu się to wszystko niespecjalnie podobało, lecz musiał przyznać, że Brad jest naprawdę dobry dla Karyn i że są szaleńczo w sobie zakochani.

- Kłamał, żeby strzec mojego honoru - stwierdziła.

- Czas, byś mu to w końcu przebaczył. Ale teraz pogadajmy o tobie. Nie zwracaj uwagi na to, co radzą ci twoi zacofani w sposobie traktowania kobiet braciszczkowie. Ja ci powiem, jak masz zdobyć serce Jenny. Ufaj mnie...

Jenny spała fatalnie. I tej nocy, i przez wiele poprzednich. Scena w kuchni Franka wciąż powracała w jej pamięci, szczególnie po szczególe, jak kronika filmowa. Ogarniał ją wciąż ten sam strach.

Po operacji tylko raz znalazła się w tak intymnej sytuacji z mężczyzną, jak teraz z Frankiem. Uważała, że kocha Larry'ego Amanti i że on ją kocha. Powiedziała mu też o swoim okaleczeniu i bliźnie. Odparł, że to nie ma znaczenia, przysięgał, że kocha ją taką, jaka jest. Lecz kiedy ją rozebrał, kiedy była naga, dostrzegła na jego twarzy nieprzyjemny grymas, jakby odrazę. Zadrżała, gdy chciał mimo wszystko przemóc się i jej dotknąć. Upokorzona do głębi, ściągnęła prześcieradło, owinęła się nim i kazała mu wstać z łóżka. Uciekł, chyba wdzięczny jej za to, a przynajmniej mógł o tym świadczyć wyraz jego oczu.

Potem długo przeżywała to zajście, czasami uważając, że może jej reakcja była zbyt gwałtowna i ostra, że przecież nie dała mu czasu na przyzwyczajenie się do jej kalectwa. Lecz teraz nawet, mając to wszystko przemyślane, nie chciała znów

podejmować podobnego ryzyka. Każde odtrącenie jest bolesne, odtrącenie przez Franka byłoby jednak podwójnie bolesne, bo naprawdę beznadziejnie się zakochała w tym ciepłym, serdecznym i wrażliwym mężczyźnie.

Nie mogła teraz przekazać go jako pacjenta Carolanne, bo byłoby to otwartym przyznaniem się do lęku przed uczuciem, które ją z nim łączy, lecz trzymała go na dystans. Minęło już kilka tygodni, a ona ani razu nie położyła mu nawet ręki na ramieniu ani nie ścisnęła, na przykład, jego dłoni dla dodania im obojgu odwagi. Żaden bliższy kontakt nie wchodził w rachubę. Uważała, że lepiej nie odczuwać tego żaru, pociągu, przyspieszonego rytmu serca.

Martwiło ją jednak to, że Frank nie wykazywał żadnej inicjatywy i jakby nie zauważał tego, na ile się odsunęła. Zachowywał się nawet bardziej oficjalnie niż ona. Uśmiechał się, żartował, czasami nawet puszczał do niej oko, lecz głównie skupiał się na rehabilitacji. Po godzinie zawsze grzecznie dziękował i szedł odwiedzić Pam, pozostawiając Jenny zawiedzioną i bez humoru. Lecz przecież zachowywał się dokładnie tak, jak sobie życzyła, dlaczego więc czuła się tak okropnie?

Pewnego dnia, kiedy poczuła się zupełnie przez niego zaniedbana, poszła za nim korytarzem, a potem kręciła się pod pokojem Pam słuchając, jak oni śmieją się z jakichś historyjek, których nie słyszała dokładnie przez drzwi. Nie potrafiła nawet sama przed sobą przyznać się, jak bardzo im zazdrości tej poufalej swobody i przekomarzania się, które przyprawiały ją o drżenie.

- Podśłuchujemy? - usłyszała nagle za sobą głos Otisa.
- Oczywiście, że nie. - Cofnęła się odruchowo.
- Romansujecie ze sobą w najdziwniejszy sposób, jaki widziałem.

Chociaż policzki pały jej ze zmieszania, natychmiast odpaliła:

- Romansujemy? My nie mamy romansu.

- Chcesz, bym w to uwierzył? - Przewrócił oczami. - Przecież widzę, jak od miesiąca chodzisz nieprzytomna.

- Tak, chcę, byś uwierzył, bo to prawda.

- Och, Jenny, Jenny, chcesz mnie okłamać czy siebie?

- Idź sobie, Otis.

- Idę. - Uśmiechnął się. - A propos, zbieram zakłady, że jesienią odbędzie się ślub. Nie spraw mi zawodu.

Przerażona, pobiegła za nim. Dopadła go i przyparła do ściany.

- Od kogo zbierasz zakłady? Z kim się założyłeś? Otis, jeżeli rozpuszczasz po szpitalu plotki, to za chwilę cię ukatrupię, przejdiesz do historii.

- Nie ekscytuj się tak. Założyłem się z Pam.

- Z Pam? - spytała z niedowierzaniem. Z jej małą przyjaciółką zakładał się za jej plecami? I to o to, że wyjdzie za mężczyznę, z którym prawie nie rozmawia?

- Pam stawia, że w maju - stwierdził Otis radośnie.

- Ja osobiście myślę, że żadne z was nie ma dość rozumu w głowie, żeby tak szybko zrobić ten krok. No i pozostało już tylko kilka dni miesiąca. Wyłożyłem to Pam, ale ona jest prawdziwą romantyczką i naprawdę by chciała, by ślub odbył się w maju. Chyba teraz tam w pokoju pracuje nad Frankiem.

- Nie będzie żadnego ślubu. - Zacisnęła zęby.

- Ani w maju, ani jesienią, ani nigdy.

- Chcesz się założyć? - Otis uśmiechnął się szeroko.

- Dam ci nawet fory. Na tym mogę stracić, bo ten facet mi się podoba. Myślę, że nadaje się dla ciebie. Od razu wyglądasz inaczej. Te rumieńce dobrze ci robią.

Jenny jęknęła i wróciła do sali rehabilitacyjnej, gdzie zaczęła się szamotać i rzucać różnymi przedmiotami. Kiedy

właśnie przez salę przelatywał jakiś słoik, otworzyły się drzwi i stanął w nich Frank, ledwie uchodząc z życiem.

- Masz zły dzień? - spytał lekkim tonem.

- Zły dzień, zły tydzień, zły miesiąc.

- Coś się stało po moim wyjściu?

- Nie, nic. - Nic, do czego by mu się przyznała.

- Chodziłaś ostatnio na aerobik?

- Na aerobik? - Nagle przypomniała sobie, że przecież mu o tym mówiła. - O tak, zapomniałam.

- Zapomniałaś, że mi mówiłaś, czy zapomniałaś pójść?

Miała ochotę powiedzieć mu, by poszedł sobie do diabła, bo dostrzegła na jego twarzy pełen zadowolenia uśmiech.

- Przyszedłeś tu w jakiejś konkretnej sprawie?

- O tak. Już przedtem chciałem ci powiedzieć, że Tim kupił bilety na mecz Gigantów, ale nie może pójść. Może byś poszła? Dziś wieczorem.

Jakże kusząca była wizja wieczoru na stadionie, orzeszków, prażonej kukurydzy.

- To miałyby być randka?

- Możesz to rozumieć, jak chcesz - odparł niedbale. Ile będzie ją kosztowało to spotkanie, kiedy znajdą się wśród tłumu ludzi? I Frank zajmie się wyłącznie kibicowaniem. Ostatnio poświęca jej niezbyt wiele uwagi.

- Dobrze - zgodziła się w końcu. - O której?

- Teraz - rzucił znienacka.

- Teraz?

- Nie chcę, byś miała czas na przemyśliwanie tego ciągle od początku. Chodźmy.

Na początku meczu Jenny nie mogła się zrelaksować. Przez cały czas czekała, żeby Frank uścisnął ją za rękę, żeby objął ją ramieniem, żeby spojrzał na nią tym swoim doprowadzającym ją do szaleństwa wzrokiem. Tymczasem on

patrzył wyłącznie na boisko, a ręce miał zajęte orzeszkami i kukurydzą. Żuła więc swoją kukurydzę i czuła się fatalnie.

Po jakimś czasie nabrała nadziei, że może już teraz, trochę nasycony meczem, raczy na nią spojrzeć. Ograniczył się jednak do zaproponowania jej lemoniady, kiedy akurat przechodził handlarz. Wdzięczna, że poświęcił jej choć trochę uwagi, przyjęła napój, choć w ogóle nie miała na niego ochoty.

Po następnej godzinie, kiedy tłum wstał, Jenny już niczego się nie obawiała ani na nic nie miała nadziei. Frank zaprosił ją na mecz baseballu, bo wiedział, że ona to lubi, po prostu. Nie był to punkt programu jakiejś batalii uwodzenia jej. Tylko dlaczego czuła się taka zawiedziona, jeżeli twierdziła, że nie chce, by rozwijał się między nimi jakiś bliższy związek?

Myślała o tym wszystkim jeszcze po skończonym meczu. Nagle uradowany wynikiem Frank podskoczył, chwycił ją i podrzucił w powietrze. Jego entuzjazm był zaraźliwy. Pękali razem ze śmiechu, aż nagle spowaźnieli. Przecież trzymali się w objęciach.

Kiedy ją opuszczał na ziemię, ich ciała zetknęły się i znów poczuła, że płonie. Straciła oddech. Na szczęście Frank nie miał zamiaru wypuścić jej z objęć. Gdyby to zrobił, kolana by się pod nią ugięły.

Patrzył na nią, niebieskie oczy pociemniały mu z pożądania. Jej serce biło jak szalone.

- A niech to - mruknęła, kiedy przestała już walczyć z własnymi uczuciami.

- Wiem, o co ci chodzi - zaśmiał się Frank.

- Specjalnie to robiłeś?

- Co?

- Tak długo się do mnie nie zbliżałeś?

- Pewien znawca mi doradził, że długie oczekiwanie może działać cuda.

- Frank, nie... - szepnęła ostrzegawczo, lecz bez przekonania.

- Nie trać czasu na mówienie o tym - uśmiechnął się. - I tak nie wygrasz. Udowodnię ci, że to, co mamy, nie zniknie sobie ot tak, w ciągu paru godzin, że to nie jest jakaś dziwna zależność między pacjentem a rehabilitantką. Kocham cię, Jenny, i któregoś dnia będziesz musiała po prostu to zaakceptować.

Oczywiście, że chciała to zaakceptować. Och, Boże, jak bardzo chciała. Lecz ponieważ los zadał im obojgu po kilka bolesnych ciosów, nie ufała mu, że tym razem postąpi inaczej.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Minęły trzy tygodnie od meczu, zanim Frankowi udało się przekonać Jenny, żeby spotkała się z nim gdzieś poza szpitalem. Ciągłe przejawiała zatrważający brak zaufania do niego. Był przekonany, że wynikał on z lęku przed pożądaniem, jakie w nim wzbudzała. Gdyby nie fakt, że znajdowali się na stadionie, na pewno by mu tak łatwo nie umknęła. Przynajmniej pocałowałyby ją tak, jak tego pragnął.

- Słuchaj, walczę tu o życie - przekomarzał się z nią, bo zauważył, że ona czuje się swobodniej, kiedy rozmawiają żartobliwym tonem. - Co ci szkodzi jedno popołudnie? Przecież chyba ufasz sobie i wiesz, że się na mnie nie rzucisz?

- To nie ja stwarzam problemy.

- No więc załóż mi kajdanki.

- Chyba nie musimy się posuwać aż tak daleko - uśmiechnęła się.

- Widzę, że się wahasz. To już dobrze. Co ci może pomóc w podjęciu decyzji? Obietnica pisana krwią? Przyzwoitka? Mogę poprosić Karyn, żeby przyleciała i dotrzymała ci towarzystwa. Cieszyłaby się, że może mnie trochę potortuować. Twierdzi, że kiedy się spotykała z Bradem, kompletnie zatrąłem im życie.

- W jaki sposób? - spytała zafascynowana. - Byłeś nadopiekuńczy?

- Może trochę - przyznał. - Chce wyrównać rachunki. No więc wystarczy jedno twoje słowo, a mogę ją zaprosić.

- Nie, chyba mogę ci ufać.

- Naprawdę twoje zaufanie powala mnie z nóg.

- Nie kpij sobie. A w ogóle to jeszcze nie skończyłam. Mogę się z tobą umówić, ale tylko pod warunkiem że ja zdecyduję, co będziemy robić. Bo musi to być coś związanego z twoją rehabilitacją.

Frank jęknął, ale zgodził się.



- Przystanę na wszystko. Ale co to będzie?

- Zobaczysz. Niedziela po południu. O trzeciej. Przygotuj się. Ja po ciebie podjadę.

Frank był tak zachwycony uwodzicielskim chochlikiem w jej oku i wizją tego, co może mu się z Jenny udać, że całkiem zapomniał, iż cała rodzina tradycyjnie w niedzielę jada razem obiad. Potem, kiedy matka zadzwoniła wieczorem, żeby mu jak zwykle o tym przypomnieć, zebrał się na odwagę, żeby tym razem odmówić.

- Mamo, nie mogę, mam ważne spotkanie. Na ułamek sekundy zapadła w słuchawce cisza.

- Ważne? - powtórzyła matka wyraźnie zafascynowana. - To przyprowadź ją. Nie ma problemu.

- Jest problem, bo to ona wszystko zaplanowała.

- Co zaplanowała?

- Nie wiem. To niespodzianka.

- No to ty zrób jej niespodziankę i powiedz, że przyjdziecie tutaj. To Jenny?

- Tak.

- Cudownie. Naprawdę będzie pasowała. O czwartej. Jak zwykle.

I odłożyła słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Może uda im się jakoś pogodzić dwie rzeczy? Może Jenny nie miałyby nic przeciwko temu, by się znaleźć wśród jego rodziny. Chociaż perspektywa poddania jej różnym zabiegom ze strony braci wcale mu się nie uśmiechała. Subtelność nie była ich główną cechą. A Jenny i tak jest dostatecznie płochliwa.

Nie minęło pięć minut, kiedy znów zadzwonił telefon.

- Frank?

Serce gwałtownie mu zabiło, więc jak mógł wątpić, czy to Jenny, nawet gdyby nie rozpoznał nieśmiałego tonu jej głosu. A taki ton miała tylko wówczas, gdy rozmawiali o ich

związku. Kiedy tematem była rehabilitacja, nie zdarzało jej się to nigdy.

- Hej. Przecież dopiero się widzieliśmy. Mam więc nadzieję, że nie dzwoniś po to, by odwołać randkę?

- Nie jestem pewna. Bo właśnie zadzwoniła do mnie twoja mama i niczego już nie rozumiem.

Frank przeklął w duchu. Powinien się domyślić, że mama nie pozostawi decyzji losowi.

- A co chciała?

- Powiedziała, że chce mnie osobiście zaprosić na obiad w niedzielę. Chyba uważała, że możesz mi nie przekazać zaproszenia. Mówiła, że to tradycyjny rodzinny obiad.

- Bystra ta moja mama.

- Frank, czy twoja rodzina nie ma czasem fałszywego wyobrażenia na nasz temat? - spytała zafrasowanym tonem.

- Wątpię. Chyba już to zafiksowali.

- Co mówisz?

- Nieważne. Co powiedziałaś mamie?

- A co miałam powiedzieć? Odparłam, że ogromnie się cieszę i dziękuję. Ale wcale się nie cieszę.

- No to nie pójdziemy tam. Mówiłem mamie, że zaplanowałam coś innego.

- Ja też to mówiłam - westchnęła ciężko. - Ale mama nie słyszy, jak się do niej mówi „nie”. No więc ustąpiłam. Powinna zajmować się działalnością charytatywną. Uzbierałaby miliony.

- Wierz mi, że coś wiem na ten temat. Kiedy chcesz się z nią spierać, to tak, jakbyś próbowała przebić głową mur. W sprawie obiadu decyzja należy do ciebie. Nie musimy tam iść, niezależnie od tego, co powiedziałaś mamie. Ja to załatwię. Nie chcę, byś się nieswojo czuła. - Czuł jednak, że właściwie to byłby szczęśliwy widząc Jenny wśród swojej rodziny.

Kiedy się zorientowała, że on trzyma jej stronę, zaczęła się wahać.

- Będą tam wszyscy?

- Wszyscy. Te niedzielne obiady to część kompromisowych rozwiązań, które trzeba było znaleźć, kiedy stopniowo wyprowadzaliśmy się z domu. Przyrzekliśmy, że raz na tydzień na pewno będziemy przychodzić.

- No to nie bardzo możesz się z tego wycofać. Idź, a nasze spotkanie przełożymy na później.

Frank użył pierwszego argumentu, jaki przyszedł mu na myśl:

- I co? Cała rodzina będzie wiedziała, że się ich przestraszyłaś i wycofałaś się z randki?

- Wcale się ich nie boję. No, może to nie całkiem prawda. Ale chodzi mi o to, że nie chcę, by myśleli, że między nami jest coś poważnego.

- Na to jest już za późno. Wiedzą, co do ciebie czuję. Jeżeli nie zjawisz się w niedzielę, wszyscy na pewno zaczną ci składać wizyty i przekonywać cię, jaki jestem wspaniały. Nie sądzę, by któreś z nich chciało ci wyrządzić krzywdę... - Zamilkł na chwilę. - Żadne z nas nie jest zdolne do gwałtownych napaści. Lecz wszyscy umiemy się bronić.

Zapadło dłuższe milczenie.

- Chcesz powiedzieć - odezwała się w końcu Jenny - że mogą wygłosić do mnie sześć osobnych mów pochwalnych na twój temat?

- Siedem. Zostaje jeszcze mama. Jest jak tygrysica. Aha, ona jedna mogłaby ci dołożyć.

- Przekomarzasz się ze mną, prawda? - zachichotała.

- Skądże, kochanie, to święta prawda.

- Może lepiej by było zostać w domu i wysłuchać listy twoich zalet.

- Już poznałaś moje zalety. W każdym razie większość z nich. Chętnie pokażę ci te, których jeszcze nie znasz. Kiedy tylko będziesz chciała.

- Oczywiście, że chętnie byś je pokazał. No dobrze. Byłam zaskoczona, ale teraz nie ma już sprawy. Pójdziemy na obiad do twojej rodziny. Ale przysięgam, że jeżeli ktoś choć szepnie o ślubie czy małżeństwie, oddam cię na tortury Otisowi.

- Ale mi pogróżka. Otis jest po mojej stronie.

- Miałam nadzieję, że nie wiesz o tym.

- Nie dziwi mnie to. Do zobaczenia w niedzielę.

Myślał o tym niedzielnym popołudniu raz z optymizmem, raz z niepokojem. Połączone siły Chambersów albo zdobędą Jenny, albo na zawsze ją wystraszą.

Stała przed małym, bezpretensjonalnym domem, z Frankiem u boku, i czuła łaskotanie w żołądku. Świeża warstwa białej farby traciła swój niewinny wyraz w połączeniu z czerwonym obramowaniem. Połączenie to przywodziło na myśl rodzinne związki, coś staroświeckiego pomieszanego z zuchwałością i kaprysem. Te właśnie cechy uosabiał Frank, chociaż miała wątpliwości, czy zdaje sobie z tego sprawę.

Trudno było nie zauważyć, że przez te wszystkie tygodnie zalecał się do niej poważnie. Narzucił spokojne tempo, żeby mogła się pozbyć strachu. Lecz wiedziała, że przecież za tym wszystkim kryje się też ich ogromne pożądanie, które jeszcze trzymają na wodzy. Dlatego mimo najlepszych intencji i urzeczenia tym mężczyzną, który ofiarował jej swoje serce, wolała utrzymać z nim dystans.

Dzisiaj przywiodła ją tu ciekawość i tęsknota. Wydawało jej się, że od wieków nie czuła się częścią rodziny. A nigdy jej się nie śniło, że mogłaby kiedyś należeć do takiego wielkiego klanu, tak mocno związanego ze sobą. Nie umiała sobie odmówić spędzenia jednego krótkiego popołudnia w

otoczeniu promieniującym ciepłem, akceptacją i miłością. Może to jedyna okazja, by się przekonać, jak to mogłoby być, gdyby odważyła się uwierzyć w miłość Franka, gdyby się odważyła zaangażować na zawsze. Nigdy się nie przyzna do tego przed nim, lecz często pozwalała sobie o tym marzyć, a było to marzenie tak pociągające, że zakazane.

- Ty drżysz - zauważył. - To ze strachu?

- Oczywiście, że nie.

- No to jesteś odważniejsza ode mnie - rzucił z zapalem, tak że roześmiała się i zapomniała o swoich obawach.

- To twoja rodzina.

- Tym bardziej moja reakcja powinna ci coś powiedzieć. Jesteś pewna, że nie wolisz pójść poskakać z zamkniętym spadochronem?

- Skądże znowu. Nie mogę się już doczekać, kiedy się dowiem, dlaczego taki wielki mężczyzna trzęsie się przed nimi ze strachu.

- No to się przekonajmy - powiedział z uśmiechem. Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze weszli na ścieżkę.

Czekała w nich uśmiechnięta mama w prostej granatowej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem. Miała na sobie też fartuszek. Wytarła w niego ręce i wyciągnęła je do Jenny.

- Witaj. Wejdz. Czekamy na ciebie. Wszyscy już są. W drodze do dużego pokoju Frank pochylił się nad nią i szepnął:

- Ostrzegałem cię. Nigdy przedtem nikt nie był punktualny. Dziś nie mogli się doczekać.

- Może po prostu wiedzieli, że będzie pyszna pieczeń - uciszyła go matka.

- Mamo, przecież ty zawsze robisz pyszną pieczeń na niedzielę.

- Wcale nie. Tydzień temu jedliśmy kurczaka.

- Dla mnie miał smak pieczeni.

- Dla mnie też - wtrącił Tim wsuwając głowę przez drzwi do holu. - I wyglądał jak pieczeń. Pewnie dlatego, że przykryłaś mięso marchewką i cebulkami.

- Gadajcie sobie tak dalej, ale jak nie przestaniecie, to nie będziecie jeść jabłecznika.

- Znów jabłecznik? - jęknął Peter, który też skądś wyszedł. Matka pogroziła mu palcem.

- Jak już tu jesteś, to możesz nakryć do stołu. A ty, Jenny, wejdź, proszę do saloniku i usiądź. Są tam Jared, Kevin i Daniel. Nie pozwól wziąć się im w obroty. A jeżeli nie będziesz mogła z nimi wytrzymać, przyjdź się schować do mnie do kuchni.

- Może od razu z tego skorzystam? - zaśmiała się Jenny. - Chciałabym pomóc.

- To nie jest dobry pomysł. - Frank naprawdę był zdumiony. - Ta kobieta zacznie wyciągać z ciebie wszystkie informacje. Nie uchowa się ani jeden sekret. Będzie chciała poznać twoje zamiary.

Pani Chambers poklepała Jenny po ramieniu.

- Proszę go w ogóle nie słuchać. I proszę od razu do kuchni. A pozostali bawcie się dobrze.

Jenny pomyślała, że w kuchni będzie bezpieczna, z dala od ciekawych spojrzeń, z dala od nadziei Franka i oczekiwań całego jego rodzeństwa. I na początku rzeczywiście czuła się bezpiecznie. Tak naprawdę wspaniale było się znaleźć wśród zapachów pieczenia, woni cynamonu i drożdży.

- W czym mogę pomóc?

- Po prostu usiądź tam i porozmawiaj ze mną - poprosiła pani Chambers wskazując na załom, w którym stał stół. Dała Peterowi komplet sztuczków i wygoniła go do pokoju. Usiadła naprzeciw Jenny i zaczęła obierać fasolę. - Już od jakiegoś czasu widzisz się z Frankiem, prawda?

- W szpitalu, tak - odparła ostrożnie Jenny, usiłując wyczuć, czy to niewinne pytanie, czy początek przesłuchania. Wzięła do ręki garść fasoli i próbowała naśladować to, co robi pani Chambers.

- I jest on po prostu jednym z pacjentów? - Spojrzała na Jenny przenikliwie.

- Oczywiście, że nie. To znaczy... ojej - mruknęła, bo tak szybko wpadła w pułapkę.

- Frank to świetny mężczyzna.

- Wiem o tym.

- Kiedy był naprawdę bardzo młody, wziął na swoje barki wielką odpowiedzialność.

- Wiem.

- Proszę się rozejrzeć po tej kuchni. To on wszystko mi tu urządził.

- Jest piękna - powiedziała Jenny szczerze. Białe, przeszkłone od frontu szafki robiły takie wrażenie, że kuchnia wydawała się o wiele większa i bardziej przestronna. Na podłodze leżała biała terakota, na ścianach białe kafelki przecięte jednym rzędem czerwonych. Kącik do jedzenia też był obudowany na biało, a krzesła i siedziska kryte czerwonym obiciem.

- Ten kącik też Frank urządził?

- Czy nie jest uroczy? - Pani Chambers aż promieniowała dumą. - Kiedyś tu była spiżarnia. Wybił ścianę i kuchnia zrobiła się dwa razy większa. Ilu mężczyzn wpadłoby na taki pomysł?

Jenny zaczęła podziwiać różne drobiazgi, obrazki i ściereczki, które były pomysłem pani Chambers, lecz ta nie słuchała, tylko wciąż wracała do Franka, podkreślając jego zasługi. I w razie gdyby Jenny miała jeszcze jakieś wątpliwości, stwierdziła na koniec:

- Z niego naprawdę byłby wspaniały mąż.

- Ależ, proszę pani, my z Frankiem jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Świetny początek.

- Początek? - protestowała słabiutko Jenny.

- Oczywiście. My z mężem też zaczęliśmy od przyjaźni. Tak jest zresztą o wiele lepiej, niż jak to na ogół dzieje się między młodymi teraz. Rzucają się do łóżka, pobierają, po czym stwierdzają, że właściwie nic ich nie łączy. Należy robić rzeczy powoli, a wtedy zrobi się je dobrze. Czekać więc jeszcze, zwłaszcza jeżeli uważasz, że jest za wcześnie.

Jenny poczuła się tak, jakby duża kuchnia nagle skurczyła się do rozmiarów klatki dla ptaka.

- Ale... - chciała zaprotestować.

- Oczywiście - przerwała jej pani Chambers radośnie. - Zawsze lubiłam śluby jesienią. Kościół można by udekorować pięknymi kwiatami. Karyn wyglądałaby naprawdę dobrze w tym odcieniu miedzi, który teraz widuje się w magazynach mody.

- Karyn?

- Oczywiście. Nie chciałam nic narzucać, wiem, że masz własne przyjaciółki, ale uważam, że miło jest, kiedy ktoś ze strony pana młodego jest też druzną.

- Teoretycznie - odparła Jenny, cały czas zastanawiając się w panice, jak w grzeczny sposób uciec do jadalni czy po prostu wskoczyć do dołu ze zmijami. Bo jeżeli zostanie tu jeszcze chwilę, wyjdzie za mąż, zanim ktokolwiek przyjmie do wiadomości, że ona sobie tego nie życzy.

Nagle otworzyły się drzwi.

- No i jak leci? - spytał Frank. - Poznajecie się nawzajem?

- Och tak. Właśnie rozmawialiśmy o ślubie - odparła matka.

- O ślubie? - Spojrzał zdumiony na Jenny.

- Czym?



- No przecież waszym.

- Mamo!

- Nigdy nie szkodzi dać kuksańca dziewczynie - stwierdziła pani Chambers wymachując w jego stronę łyżką - żeby wiedziała, że będzie mile widziana w rodzinie.

Spojrzał na Jenny i na jego twarzy pojawił się cień rozbawienia.

- Czujesz się mile widziana?

- Bardzo mile - powiedziała skandując.

- Może chcesz pójść ze mną do pokoju? - zaproponował pośpiesznie.

- O tak.

Pani Chambers uśmiechnęła się znacząco.

- Oczywiście, idźcie, dzieci. Mogę porozmawiać z Jenny później.

Dziewczyna omal nie jęknęła. Wyszli.

- Próbowałem cię ostrzec - powiedział obejmując ją ramieniem.

- Podoba ci się to, prawda? - Umknęła mu. - Matka przygotuje za ciebie teren.

- Jaki teren?

- No przecież właściwie mi się w twoim imieniu oświadczyła.

- Naprawdę? - Twarz mu się rozjaśniła. - I co na to powiedziałaś?

- Co mogłam powiedzieć? Nie dała mi nic powiedzieć, bo uznała, że odpowiedź jest oczywista.

Jenny wiedziała, że zawodzi ją głos, bo już nie udawało jej się wyrażać swojej irytacji żartobliwym tonem. Zdarzyło się to, czego się obawiała. Cała rodzina będzie teraz siedziała przy obiedzie patrząc na nią w oczekiwaniu na ogłoszenie wiadomej uroczystości. I będzie musiała to wytrzymać.

Ale właściwie dlaczego? Przecież może zaprotestować i postawić sprawę jasno. Może to wprawić Franka w zakłopotanie, lecz tylko na chwilę, a na dłuższą metę lepsze to niż pogłębianie tego nieporozumienia. A może jednak problem polega na tym, że jej samej podoba się ta gra? Bo gdyby chciała być sama przed sobą uczciwa, to musiałaby przyznać, że przecież miło jej było tam, w kuchni, występować w roli przyszłej synowej.

No i dobrze, do licha! Co w tym takiego straszego? Przecież i tak do tego nie dojdzie, ale teraz może sobie pozwolić na to, by na jakiś czas jakby urzeczywistnić wizję, że jest panią Chambers. Spojrzała na Franka i w jego oczach wyczytała, że on doskonale wie, co się z nią teraz dzieje.

Zanim jednak podjęła ostateczną decyzję, czy zostaje, czy wychodzi, było już za późno. Obiad stał na stole, pani Chambers nakładała na talerze, Jenny już siedziała obok niej i wszyscy odmawiali modlitwę. Kiedy podziękowała Bogu, że jej syn poznał taką ładną i dobrą kobietę, Frank uścisnął rękę Jenny chcąc jej dodać odwagi. Spojrzała na niego ze łzami w oczach, starając się stłumić w sobie nadzieję.

Kiedy odwoził ją do domu, obserwował ze zdumieniem i zachwytem, jak to jedno popołudnie ją odmieniło. Z nieśmiałości, wciąż umykającej dziewczyny przemieniła się w narzeczoną. Wprawdzie wchodząc na początku do kuchni miał ochotę udusić matkę, lecz teraz musiał przyznać, że powinien być jej wdzięczny. Jenny wspaniale się czuła wśród jego rodziny, grała z braćmi w Monopol i przyjęła zaproszenie na następną niedzielę. Jeszcze nie był pewien, jaka dokładna i jak głęboka była jej odmiana, lecz trudno było narzekać.

- Jesteś zadowolona? Było miło? - spytał. Siedziała obok niego, z zamkniętymi oczami i uśmiechem zadowolenia na ustach.

- Było najcudowniej - mruknęła.

- A przyczyniłem się do tego?

- Pewno, że tak. Dlaczego pytasz?

- Bo kilka godzin temu dążyłaś do tego, by w bardzo zdecydowany i konkretny sposób określić zakres naszej znajomości. A zanim wyszliśmy od mamy, przynajmniej siedem osób, jeżeli się nie mylę, utwierdziło się w przekonaniu, że jesteśmy zaręczeni. Ja też do nich należę.

- Nigdy tego nie powiedziałam, prawda? - westchnęła.

- Zgoda. Ale wiedziałaś, że takie panuje przekonanie, i nie zaprzeczyłaś. Dlaczego?

- Chyba - przygryzła wargę - pozwoliłam sobie przez chwilę na to, by też tę fikcję traktować serio, gdyż była mi miła. Bardzo za to przepraszam.

- To nie musi być fikcja. - Serce biło mu jak młotem. - Kocham cię, Jenny. Wiesz o tym. Chcę, byś za mnie wyszła. - Zatrzymał samochód na poboczu, dotknął jej policzka, niespodzianie mokrego od łez. - Naprawdę cię kocham, malutka.

- Och, Frank, żeby tylko...

- Nie ma żadnych „żeby tylko”. Wystarczy, że powiesz „tak”. Jedno małe słówko. Dlaczego to takie trudne?

- Wiesz dlaczego - powiedziała przez łzy.

- Jedź więc ze mną do domu i pozwól mi udowodnić, że naprawdę nic nie może stanąć na naszej drodze.

- Dobrze, pojedę z tobą - szepnęła drżącymi ustami. Pogłaskał ją po policzku, przesunął palcem po linii jej ust. Oczekiwanie. Żarliwe, słodkie, niecierpliwe. I trema, którą wyczuwał też w Jenny.

- Nigdy tego nie pożałujesz - przysięgał, by dodać im obojgu odwagi. - Nigdy.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zgodziła się pojechać z Frankiem do jego domu, lecz w chwilę potem już żałowała swojej decyzji. Pokusa była jednak zbyt silna i wyobraźnia też dodawała jej odwagi. Nie potrafiła więc się wycofać. Oddałaby wszystko, by ta jedna noc okazała się doskonała. Ani przez chwilę też nie wątpiła, że Frank na pewno o to zadba. Nie miała wątpliwości, że ją kocha. Naprawdę troszczył się o nią, uważał, by w niczym jej nie zranić, a to świadczyło o głębi jego uczucia.

Lecz czy liczy się jedynie miłość? Miała co do tego poważne wątpliwości.

Teraz jednak nie może się wycofać. Powiedziała „tak”, podjęła więc zobowiązanie wobec niego i wobec siebie. Może tylko na tę jedną noc, lecz było to zobowiązanie. A podobnie jak Frank lubiła honorowo dotrzymywać słowa.

Kiedy znaleźli się już u niego w domu, zorientowała się, że Frank ją obserwuje.

- Denerwujesz się? - spytał wreszcie. Skinęła potakująco głową.

- Ja też.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że on może się tak samo bać jak ona. To, że się do tego przyznał, naprawdę ją oczarowało i dodało jej odwagi.

- Możesz jeszcze zmienić zdanie - powiedział poważnie. - W każdej chwili.

- Nie zmienię - odparła z przekonaniem, czując się o wiele silniejsza dzięki jego postawie. – Jeszcze nigdy w życiu niczego tak bardzo nie chciałam jak teraz być z tobą.

Wyciągnął do niej rękę, podała mu swoją dłoń. Przesunął pieszczotliwie kciukiem po jej palcach i ucałował je. Zadrżała zaznajac od niego tyle czułości.

- Napijesz się czegoś? Chyba mam trochę wina.

- Tak, proszę, lubię wino - odparła, choć bardziej niż na winie zależało jej na oddaleniu w czasie intymnych chwil.

Musiała przyzwyczać się do tego miejsca i do myśli o takiej bliskości, o jakiej już zapomniała. Musiała przygotować się na ewentualne odtrącenie. Wprawdzie wiedziała, że Frank nigdy świadomie by tego nie zrobił, lecz przecież może zranić ją czymś podświadomie. Czekaając na wino ruszyła przez hol do jego pracowni. Zapaliła światło. Wciągnęła do płuc zapach drewna, przesunęła palcem po jednej, drugiej ukończonej rzeźbie. Natrafiwszy na figurkę ptaka przypomniała sobie, jak uczyła tu Franka poruszać palcami, jak chciała zadbać o to, by w pełni odzyskał w nich władzę. Chyba dostrzegła nowe pociągnięcia dłutem, musiał więc próbować.

Poczuła obecność Franka. Stał w drzwiach patrząc na nią.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że tu weszłam. - Uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że nie - powiedział, ale coś w rodzaju skrepowania w tonie jego głosu przeczyło słowom. Podał jej wino.

- Widzę, że pracowałeś. - Wskazała na ptaka.

- Próbowałem. - Wzruszył ramionami.

- Świetnie.

- Jeszcze na to za wcześnie, żeby było świetnie. - Potrząsnął krytycznie głową, lecz w jego oczach tliła się nadzieja.

- Jestem z ciebie dumna.

- A ja z ciebie.

- Dlaczego? - spytała zdumiona.

- Że odważyłaś się mi zaufać.

- Już był na to czas - odparła ot, po prostu, bo wiedziała, że to prawda.

Mogłaby to odłożyć o tydzień, miesiąc czy rok, lecz z punktu widzenia uczuć była na to gotowa. Żaden mężczyzna

nie mógłby być bardziej odpowiedni dla niej niż ten delikatny, nie narzucający własnego tempa Frank.

- Przytulisz mnie? - Odstawiła kieliszek.

- Już myślałem, że nigdy mnie o to nie poprosisz. - I wziął ją w ramiona.

Oparła głowę na jego piersi słuchając bicia serca i wciągając męski delikatny zapach. Jak bezpiecznie czuła się w objęciach Franka. Tak, jakby w końcu trafiła do domu. A mimo to...

A mimo to serce biło jej jak szalone. To dawała znać o sobie namiętność, która nie miała nic wspólnego z poczuciem bezpieczeństwa. Jenny pałała. Kiedy w końcu dotknął ustami jej warg, poczuła żar. Niecierpliwość i pośpiech rozpałały ją do białości. Frank nie śpieszył się, tylko powoli zgłębiał jej usta namiętym pocałunkiem. Tymczasem głęboko w niej narastała gorączkowa, żarliwa potrzeba, którą tak strasznie pragnęła zaspokoić. Jego delikatny, powolny dotyk był cudowny, lecz pragnęła już kochać się z nim, kochać do nieprzytomności, kochać się tak, by nie myśleć i nie pamiętać.

Przyciągnęła go mocniej do siebie, wsunęła palce w czarną jak noc czuprynę. Złaknionymi ustami przesuwiała po jego ostrych policzkach, to znów szukała aksamitnych warg. Nagle zamarła z wrażenia, bo wziął ją na ręce i niósł do sypialni.

Dostrzegła kilka szczegółów tego pokoju, jego czyste męskie linie, wesołe kolory, komplet fotografii rodzinnych na szafce, płataninę ubrań mężczyzny, który zawsze się śpieszy... zawsze, ale nie teraz. Po chwili już nic nie widziała, tylko Franka, któremu niebieskie oczy zaszły mgłą pożądania.

- Jesteś pewna? - spytał po raz ostatni.

- Tak - szepnęła, choć serce zabiło jej z przerażenia.

- Nie mam żadnych wątpliwości.

Przysunął się jeszcze bliżej, patrzyli sobie w oczy. Drżącymi palcami zaczął rozpinać jej bluzkę. Była przerażona jak nigdy w życiu, a zarazem całkowicie owładnięta pragnieniem tak głębokim, jakiego dotąd nie знаła. Rozpiął pierwszy guzik, odsłonięte w ten sposób ciało przypieczętował pocałunkiem, jedyne więc, co poczuła, to jeszcze głębsze pragnienie. Miał tak zwinne palce i tak przekonująco ją całował, że całkiem przestała myśleć i zastanawiać się, czy w jego wzroku dostrzeże odtrącenie. Bluzka opadła, opadł specjalnie szyty staniczek. Pamiętała tylko, jak często w nocy marzyła o tym, by ktoś tak ją pieścił.

Dotknął ustami blizny. O mało nie krzyknęła, lecz w tej samej chwili zapadła się w nicość, czuła tylko głód i słodkie pragnienie, bolesne, radosne. Chciała tylko czuć, lecz nagle oprzytomniała, zrozumiała że musi też wiedzieć.

Zebrała się na odwagę i otworzyła oczy. Wstrzymała oddech widząc, jak Frank muska palcem jej bliznę i wcale się nie cofa. Po policzku spłynęła mu łza, ręka zadrżała. Patrzyli sobie w oczy, pieścił ją najczulej.

- Kocham cię, Jenny. - Znów pociekła mu łza.

- Kocham cię.

Nagle jakby zamarł. Spozrzegła, że patrzy na własne czerwone blizny odbijające od bieli jej ciała.

Złapała go za rękę i całowała palec po palcu, aż uwierzył w uzdrowieńczą siłę miłości.

Łzy zlewały się w jedno, czułe słowa rozwiały wszelkie wątpliwości. Jej ciało stworzone było, by drżeć pod jego palcami. Zamknęła oczy, całkiem poddała się uczuciu, wchłaniała doznania, by zachować je w skarbcu na zawsze. Nawet wtedy, gdy Frank odejdzie.

Bo oczywiście to niemożliwe, by te wspaniałe chwile trwały. Nawet nie śmiała marzyć, żeby trwały dłużej niż tę jedną noc. Jak kobieta, która chce się nasycić na całe życie

wymarzonym momentem, upajała się wspaniałą linią sylwetki Franka, cudownie jędrnym ciałem. Gładziła napinające się mięśnie, czuła, jak tężeją z pożądania.

Dotykali się coraz bardziej szaleńczo, krew im wrzała, myśli uleciały, uczucie przeważało wszystko, doznali spełnienia nagle, razem. Ta jedna wstrząsająca chwila sprawiła, że nie istniały już lata bólu, cierpienia i wątpliwości. W sercu Jenny rozkwitła wiosenna, ożywcza miłość.

Tuliła się do Franka całym ciałem, a słowo „zawsze” wydawało się jedynym prawdziwym. Trzymał ją okaleczoną w ramionach, a czuła się pełna i piękna i wierzyła, że wszystko jest możliwe.

Kiedy się obudził z Jenny w ramionach, poczuł, że przepelnia go tak niewypowiedziana radość, jakby po raz drugi się narodził. Wyciągnął się ostrożnie, żeby jej nie obudzić, i patrzył na jej doskonale jedwabistą skórę, na czuprynę loków połyskujących w słońcu złotym brązem. Była drobniejsza, niż myślał. Pewnie mógłby objąć ją dłońmi w talii. Położył rękę na jej biodrze.

Ten dotyk sprawił, że niespokojnie się poruszyła i przekreśliła na plecy. Musnął więc palcami jej brzuch, co przyprawiło ją o dreszcz i zaczęła pośpiesznie oddychać. Zawahał się, czy może dotknąć jej piersi, przesunął więc dłoń po bliźnie. Wzdrygnęła się, westchnęła i powoli zaczęła się budzić.

Frank uśmiechnął się do niej, zaspana wyglądała tak powabnie, poczuł, że znów jest gotów, że ogromnie jej pragnie. Przez chwilę leżała przy nim całkiem naga, aż nagle, jakby sobie uświadomiła swą bezbronność, chciała się przykryć prześcieradłem. Chwycił ją za ręce, by powstrzymać ten odruch.

- Proszę cię, nie - szepnął uspokajająco, widząc w jej oczach strach. - Jesteś piękna, jesteś piękną kobietą, której



pragnę. Piękne jest i twoje ciało, i wewnątrz. Bardziej nie mogę cię już kochać.

Usta jej drżały, chciał je przykryć swoimi, lecz uznał, że lepiej jest po prostu na nią patrzeć. Bo dopiero wtedy może mu uwierzy, że jej okaleczenie naprawdę nie ma dla niego znaczenia. Potrzeba na to czasu, czynów i odpowiednich słów.

- Musisz mi wierzyć, Jenny. Jesteś dokładnie taką kobietą, jakiej potrzebuję. I będę ci to udowadniał do końca życia.

W oczach jej rozbłysły łzy i pociekły po policzkach. Ujęła jego pokryte bliznami ręce w swoje i przytuliła do mokrej twarzy.

- Wiem o tym - powiedziała z westchnieniem i niejakim wahaniem.

- Nie bardzo wierzysz w to, co mamy, prawda? Dlaczego? Dlaczego kobieta, która uczy innych, jak nie poddawać się swoim ograniczeniom, sama nie potrafi tak żyć?

Odsunęła się od niego i zamknęła w sobie.

- Frank, to nie chodzi tylko o okaleczenia czy blizny. Gdyby tak było, to nie uważasz, że rzuciłabym ci się w ramiona i chciała w nich pozostać na zawsze? Spędziliśmy najcudowniejszą noc w moim życiu. Czułam spełnienie, czułam się piękna i pożądana. To mi dałeś. Ale nie mogę być jedną z tych, których bierzesz pod swoje skrzydła i chronisz. Wychowałeś już pięciu braci i siostrę. Teraz tobie należy się coś od życia: trochę beztroski i szczęścia.

Starał się zrozumieć, co ona mówi, lecz nie potrafił, bo nie było w tym sensu. Jak ona może porównywać się z jego rodziną? Brzmiało to tak, jakby uważała, że może być dla niego ciężarem, a nie wyjątkową kobietą, skarbem, który chciał mieć przy sobie. Czyżby już teraz, na samym początku, planowała, że to się skończy?

- Jenny, to bzdura. Ja cię kocham. I naprawdę nie traktuję cię jak jakiejś przybłądy, którą chcę przygarnąć.

- Ale tak mogłoby się zdarzyć, a ja tego nie chcę.

- Czego nie chcesz? - Był tak sfrustrowany, że podniósł głos. - Do diabła, porozmawiaj ze mną porządnie. Wy tłumacz mi, dlaczego chcesz odrzucić to, co mamy.

- Bo nie wierzę, że to będzie trwało - odparła stanowczym, ponurym tonem, poblądła na twarzy.

Byłby równie zdezorientowany, gdyby stwierdziła, że niebo może im się zawalić na głowę.

- Kochanie, wiem, że nigdy nie ma gwarancji, ale dlaczego rezygnować z tego, co mamy, tylko dlatego, że ewentualnie kiedyś możemy to stracić?

- Nie lubię nierównych szans.

- Jakich nierównych szans? Czy wskaźnik rozwodów wynosi pięćdziesiąt procent? Co ci się nie podoba?!

- Przestań krzyczeć.

- Przepraszam. Po prostu doprowadzasz mnie do furii - rzucił zniecierpliwiony. Lecz spojrzawszy na nią uspokoił się. Wciągnął głęboko powietrze. - Dobrze. Porozmawiaj ze mną normalnie. Wy tłumacz mi. Czy niepokoi cię to, jak się poznaliśmy? Boisz się, że się od ciebie uzależniłem?

- Nie - odparła biorąc go za rękę i całując. - Już jesteś silny i niezależny i wiem, co do mnie czujesz. Ale nie będę tego wykorzystywała.

- Czego wykorzystywała?

Chwyciła za prześcieradło i tym razem definitywnie nim się obwinęła. Kiedy już zakryła wszystko, co chciała zakryć, powiedziała spokojnym tonem:

- Najbardziej boję się tego, że ja mogę się od ciebie uzależnić.

- Jenny...

- Nic nie mów. - Położyła mu palec na ustach. - Posłuchaj. Od mojej operacji minęły mniej więcej cztery lata. Dopiero po pięciu latach można mieć gwarancję. Jeszcze więc sporo czasu

zostało. Żyję w oczekiwaniu. Nie mogę cię tym obciążać. Nie mogę cię prosić, byś żył z dnia na dzień oczekując, że zapadnie na nas wyrok śmierci. - Spojrzała mu w oczy. - I nie zrobię tego.

Frank był oszołomiony. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że Jenny jeszcze w jakiś sposób walczy z chorobą. Serce ścisnęło mu się na myśl o tym, jak ona musi cierpieć żyjąc w ciągłym strachu, że choroba może powrócić. Lecz przecież takie życie nie ma sensu - przyjmowanie za pewnik czegoś, co jest tylko prawdopodobne. Musi ją o tym przekonać.

Odgarnął jej z twarzy włosy. Szukał w myśli przekonujących słów.

- Jenny, moja miłości, czy nigdy nie słyszałaś przysięgi małżeńskiej? W zdrowiu i chorobie? Pamiętasz? Teraz jesteś zdrowa. Każde jutro będzie dla nas po prostu jakimś nowym jutrem. Jeżeli nie zaczniemy tak żyć, jeżeli nie przyjmiemy do wiadomości, że tak należy żyć, jakie będziemy mieli wspomnienia? Samotności? Strachu? Tęsknoty? Nie chcę tego. Nie chcę też tego dla ciebie. Może nigdy tak naprawdę nie przestaniemy się bać, ale na pewno nie musimy być samotni.

- Ale to nie fair wobec ciebie - odparła uparcie.

- Nie fair wobec ciebie było to, że zachorowałaś. Nie fair wobec mnie było, że uległem takim poparzeniom. Ale musimy żyć dalej. A poza tym jesteśmy razem dzięki twojemu rakowi i moim poparzeniom. Może nie powinniśmy o tym zapominać, może powinniśmy cieszyć się z tego.

- Boję się, Frank.

- Że umrzesz?

- Że cię zostawię.

- To dlatego chcesz mnie zostawić teraz, kiedy możesz zostać?

Wysunął wszystkie możliwe argumenty i czekał na wynik. Jenny objęła go w pasie i już myślał, że udało mu się zwyciężyć. Lecz nagle wstała, zaczęła przebierać w stosie zrzuconych wczoraj ubrań i wybrawszy swoje poszła do łazienki.

Frank najchętniej rzuciłby czymś, coś rozbił. Miał ochotę chwycić ją za ramiona i wrzeszczeć tak, żeby w końcu usłyszała, co mówi. Tymczasem siedział tylko bezradnie, a ona robiła to, co uważała za szlachetne. Kiedy wyszła z łazienki, wziął ją za rękę.

- Jenny, nie odchodź. Zrobię śniadanie. Jeszcze porozmawiamy.

Przełknęła ślinę, potrząsnęła przecząco głową. Ucałowała go ostatni raz i ze łzami w oczach wyszła.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Frank poczuł się bezradny. Odejście Jenny było dowodem, że nie umiał pomóc jej uporać się ze strachem i obawami. Nie zatrzymywał jej, choć wszystko w nim wołało, by wziąć ją w ramiona, tulić i kochać tak, by musiała zostać już na zawsze. Lecz w głębi serca przeczuwał, że i tak odeszłaby, tylko byłoby jej trudniej. Wiedział, jaka potrafi być uparta i stanowcza. Postąpił więc słusznie, pozwalając jej wyjść, lecz z tego powodu nie czuł się lepiej. Mijały okropne dni.

Męczyła go nuda gorsza od wszystkiego, z czym musiał się uporać w szpitalu, a połączona z uczuciem osamotnienia doprowadzała go do szału. Pod koniec tygodnia warczał już na każdego, kto znalazł się w pobliżu. Znow próbował rzeźbić, lecz dłuto zjechało mu po drewnie i na figurce ptaka zrobiła się taka rysa, że wyrzucił wszystko do śmieci. Nazajutrz wyjął ze śmieci i ptaka, i dłuto, żeby spróbować od nowa.

Nadeszła niedziela. Wyłgał się jakoś z rodzinnego obiadu. Wydawało mu się, że od poprzedniego minęło sto lat, lecz nie był gotów, by rozmawiać o swoim związku z Jenny, który już nie istniał. Szybko jednak zorientował się, że wykręty nic mu nie dały, jeszcze tylko pogorszyły sytuację, bo cała rodzina zamiast zebrać się jak zwykle u matki, zaczęła stopniowo napływać do niego. Pierwsi zjawili się Tim i Jared.

- Moim zdaniem świetnie wyglądasz - stwierdził Jared po bliższych oględzinach brata.

- Pewnie, czuję się dobrze.

- Ale mówiłeś mamie, że jesteś chory - wtrącił Tim.

- Bo chyba zaczyna mi się rozwijać jakieś choróbko, ale mam nadzieję, że to nic poważnego. Nie chcę jednak nikogo zarazić. Idźcie do mamy we dwóch.

- Nie możemy - odparł Jared.

- Dlaczego? Będzie na was czekała.

- Nie będzie. - I w tej samej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi. - To chyba ona. - Zerknął na Jareda. - Założę się, że dziś bulion.

- Nie, rosół. Rosół i wołowina w sosie musztardowym.

- To idiotyczne - jęknął Frank. - Nie jestem aż taki chory.

- To nie trzeba jej było nic mówić. Teraz wszyscy będziemy musieli jeść te świństwa. Zdajesz sobie sprawę, jak ja nienawidzę sosu musztardowego?

Od drzwi doleciał stłumiony okrzyk oburzenia.

- Co masz na myśli, Timie Chambers? Zawsze twierdziłeś, że uwielbiasz mój sos musztardowy.

- Ojej, mamó, to nie było przeznaczone dla twoich uszu.

- Nie powinieneś więc tego mówić. - Starła się ukryć uśmiech. - Idź do samochodu i przynieś resztę obiadu.

- Ale to będzie prawdziwe jedzenie? - spytał z nadzieją w głosie Jared.

- Zupa i sos musztardowy to jest prawdziwe jedzenie. Idźcie już.

Kiedy wyszli, przyjrzała się uważnie Frankowi. Matczyzną intuicją wyczuwała prawdziwy problem.

- Pokłóciliście się z Jenny?

- Dlaczego, na Boga, przyszło ci to do głowy?

- Bo w przeciwnym razie byłaby tutaj i zajmowała się tobą.

- Mamó, wydaje mi się, że na temat Jenny i mnie masz pojęcie niezupełnie zgodne z prawdą.

- Nie sądzę. - Potrząsnęła głową. - O co się pokłóciliście?

- Właściwie to wcale się nie pokłóciliśmy.

- To co się stało?

- To moja osobista sprawa.

- No dobrze. Rób, jak uważasz, ale nie udawaj, że nie wiesz, co się z tobą dzieje, tylko dlatego, że coś się nie układa.

Jeżeli ją kochasz, to ze względu na siebie i na nią masz obowiązek walczyć. Nie kieruj się fałszywą dumą.

Frank inaczej oceniał swoje postępowanie z Jenny, uważał, że pozwolił jej dokonać własnego wyboru. Lecz może matka miała rację. Pod wpływem jej słów postanowił jeszcze raz spróbować. Pójdzie w poniedziałek do szpitala, porozmawia z Jenny i tak długo będzie jej wiercił dziurę w brzuchu, aż zrozumie, że naprawdę przyszłość nie musi im zagrażać, niezależnie od tego, co przyniesie. Najważniejsze, żeby byli razem.

To postanowienie dodało mu sił i napełniło nadzieją. Nazajutrz wmaszerował do szpitala, wsunął głowę do pokoju Pam, by powiedzieć jej cześć, i wkroczył do sali rehabilitacyjnej niby generał do zdobytego miasta. Stanąwszy w drzwiach stwierdził, że pomieszczenie jest puste. Na biurku Jenny panował złowieszczy porządek. Stał zastanawiając się, co to wszystko może oznaczać, kiedy nagle weszła Carolanne. Zdumiała się na jego widok.

- Przyszedłeś na zabieg? Chyba nie widziałam cię na grafiku.

- Nie. Przyszedłem zobaczyć się z Jenny.

- Nie ma jej - odparła już mniej sympatycznie.

- Rozumiem. A gdzie jest?

- Wzięła kilka dni wolnego.

Frankowi załomotało serce.

- A co się stało?

Carolanne popatrzyła na niego poważnie.

- Chodź i usiądź - powiedziała w końcu. - Chyba najwyższy czas, byśmy porozmawiali.

- Do licha, powiedz mi, gdzie ona jest. Co się stało?

- Siadaj - poleciała podobnym tonem jak Jenny. - Chcesz kawy?

- Dobrze, proszę - rzucił niecierpliwie, lecz usiadł. Wydawało mu się, że nigdy nie poda mu tej kawy, w końcu jednak przyniosła ją i usiadła naprzeciw niego.

- Jesteś w niej zakochany?

- Tak.

- Ona wie o tym?

- Tak - odparł czując się trochę dziwnie, że musi odpowiadać na takie osobiste pytania. Przeczował, że Carolanne musi znać te odpowiedzi, jeżeli chce być z nim równie szczerą. - Mówiłem jej to.

- No to wszystko jasne.

- Co jest jasne? Do licha, przestań owijać w bawełnę. Nic jej nie jest?

- Nie wiem.

Frank poczuł się tak, jakby wypompowano z niego powietrze. Carolanne przeraziła się widząc, co się z nim dzieje.

- Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. Chodzi o to, że Jenny poddaje się różnym badaniom. To typowe badania w takich przypadkach jak jej, ale to nie znaczy, że człowiek nie trzęsie się ze strachu czekając na wyniki i na orzeczenie, czy jego życie nie wisi na włosku, czy będzie musiał przechodzić nowe operacje, nowe naświetlania i tak dalej.

Frank nagle skojarzył te coroczne badania Jenny z tym, jak odeszła.

- Czy wiedziała o tych badaniach tydzień temu?

- Tak. Chyba zapisała się na nie trzy, cztery tygodnie temu.

- Czy jest tu w szpitalu?

- Nie, te badania robią ambulatoryjnie.

- Ktoś jest przy niej?



- Dokładnie nie wiem, ale chyba Otis wziął dzień wolny, żeby ją zawieźć. Zawsze to robi, mimo że ona uparcie twierdzi, że da sobie radę sama.

- Jak się nazywa jej lekarz?

- Jeżeli nie powiedziała ci o tych badaniach

- zaprotestowała dziewczyna - to znaczy, że nie chce, żeby tam się pokazywał.

- Nie rozumiesz? Przecież muszę tam przy niej być. Carolanne wahała się przez dłuższą chwilę, lecz w końcu podjęła decyzję.

- Idź do niej do domu. Ona nie potrzebuje twojej obecności podczas badań, ale potem. Najgorsze jest przecież czekanie. Właśnie wtedy ktoś powinien z nią być. - Wsunęła rękę do torebki i podała mu klucz.

- Dobrze, że jeszcze go mam. Kiedyś podlewałam jej kwiaty. Znasz jej adres?

- Tak. Dzięki. Naprawdę jestem ci wdzięczny.

- Nie ma za co. Najważniejsze, żeby Jenny była szczęśliwa. Należy jej się to.

- Zrobię wszystko, żeby była.

- Postaraj się. Bo jeżeli nie, ona mnie zabije za to, że dałam ci klucz.

Chciał się najpierw zatrzymać przed kwaciarnią, lecz zrezygnował z tego pomysłu, bo stwierdził, że dom tonący w kwiatkach może wyglądać zbyt banalnie. Kupił więc w końcu balony, dziesiątki różnokolorowych balonów. Napęlnione wodorem, unosiły się w pokoju Jenny tworząc jakby tęczowe sklepienie. Kolację zamówił w najlepszej restauracji w San Francisco, wino w najlepszej winiarni. A uświadomiwszy sobie, że na wyniki badań trzeba będzie czekać co najmniej kilka dni, natychmiast zarezerwował w biurze podróży bilety na Hawaje. Posłaniec miał je niezwłocznie doręczyć. Te kosztowne wakacje nadwerężą trochę jego budżet, lecz nie ma

to znaczenia, przecież trudno sobie wyobrazić bardziej sensowny sposób wydania tych pieniędzy. To nie pora na oszczędzanie. Ekstrawagancja jest w takim wypadku wręcz pożądana.

Kiedy zarezerwował bilety, usiadł i czekał na Jenny. Okropnie się denerwował przed tym spotkaniem, zarazem jednak wiedział, że jego zdenerwowanie jest niczym w porównaniu z tym, co ona przeżywa. Dochodziła piąta po południu. Nagle usłyszał chrobot klucza w drzwiach.

Podmuch powietrza poruszył wszystkie balony. Uleciały wysoko w górę, a radosny, zdumiony wyraz twarzy Jenny był dla Franka prawdziwą nagrodą.

- Witaj w domu - powiedział cicho, nie dając po sobie poznać, że martwią go jej podkrążone oczy i przygarbione plecy.

- Ty to wszystko przygotowałeś?

Za nią stał Otis i uśmiechał się zadowolony. Wykonał w stronę Franka gest kciukiem oznaczający, że docenia jego wysiłki.

- Chyba jestem już tu zbędny. Zmykam. - A kiedy Jenny nawet na niego nie spojrzała, uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Uświadom jej, że powiedziałem do widzenia - zwrócił się do Franka udając, że gniewa się na nią. - Oczywiście, jeżeli w ogóle zauważy, że mnie tu nie ma.

- Cześć - burknęła w końcu nieprzytomnie Jenny. Najwyraźniej wreszcie zorientowała się, że Otis wychodzi. Patrzyła na Franka. - Dlaczego przyszedłeś?

- Bo najwyższy czas, a poza tym coś zrozumiałem - powiedział rzeczowo.

- Co zrozumiałeś? - Patrzyła na niego rzeczywiście zdezorientowana.

- Zrozumiałem, jak to ma już być. Od dzisiaj. Byłaś przy mnie w najgorszych chwilach mojego życia. Teraz ja będę

przy tobie. Po prostu. To jest tak jak ze wschodem słońca, śpiewem ptaków i przyływami. Nie walcz z tym, Jenny. Tym razem nie dam ci zwyciężyć.

Najpierw w jej oczach pojawił się gniewny ogień, po chwili jednak spojrzenie nabrało wyrazu zrozumienia i akceptacji. Westchnęła ciężko i opadła na kanapę. Wydawała się wyczerpana.

- Jestem taka zmęczona. Nie wygrałabym teraz nawet z kimś o wadze piórkowej.

Czuł, że chyba odniósł zwycięstwo, lecz nie był do końca usatysfakcjonowany.

- To znaczy, że akceptujesz nasz układ? Że będziemy razem? Zawsze?

- Zobaczymy - odparła słabym głosem. Przymknęła oczy i zwinęła się w kłębek na kanapie.

Nie zdeklarowała się do końca, lecz przynajmniej nie przeciwstawiła mu się. Zmartwiony, że jest tak wyczerpana i blada, usiadł przy niej i wziął ją w ramiona. Przytuliła się do niego z westchnieniem.

- Och, Jenny - szepnął - tylko nie waż się mnie opuścić.

Wymamrotała coś sennie i zasnęła. Trzymał ją w ramionach i przepelniła go taka tkliwość, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. Czuł się szczęśliwy, mimo niepewności, co przyniesie przyszłość.

Kiedy się obudziła, tylko jakby przez mgłę pamiętała, jak wróciła z badań. Zdenerwowanie wysysało z niej wszystko, było gorsze od samych badań. Pamiętała, jak weszła do domu, pamiętała, jak padła na kanapę. Pamiętała... Zdumiona, ściągnęła brwi. Czy to Frank czekał na nią? Czy postawił jej jakieś szalone ultimatum, czy to tylko był cudowny sen? Powoli otworzyła oczy. Mrugnęła z niedowierzaniem. No, przynajmniej część tego snu okazała się rzeczywistością.

Nigdy w życiu nie widziała tylu balonów. Unosiły się nad nią czerwone, zielone, niebieskie i żółte balony, podskakiwały, tańczyły. Zaczęła się śmiać, sięgnęła po jeden, potem po drugi, trzeci i jeszcze następne, aż trzymała w ręku wielki bukiet.

- Uważaj, bo pofruniesz - usłyszała głos Franka. Wynurzył się zza balonów, usiadł przy niej. A więc

to wcale nie był sen. Frank jest tutaj. To jej wystarczało, nie była nawet ciekawa, jak się tu dostał. A właściwie i tak mogła się domyślić, że dzięki Carolanne, która miała jedyny dodatkowy klucz.

- Jak się czujesz, śpiochu? - spytał.

- Lepiej. Która godzina?

- Prawie ósma. Jesteś głodna?

- Umieram z głodu. Ale nie mam nic na kolację.

- Wręcz przeciwnie. Jest szpikowana cielecina po włosku, spaghetti i ciasto czekoladowe, tak delikatne i pyszne, że można zemdleć.

- Jeżeli sam to przyrządziłeś, to może rzeczywiście możemy pogadać o pewnych twoich propozycjach.

- To znaczy?

- To znaczy, że ponownie mogę się zastanowić nad możliwością poślubienia mężczyzny, który potrafi upiec ciasto czekoladowe.

Frankowi niespecjalnie to się podobało.

- Wyjdiesz za mnie niezależnie od tego cholernego ciasta. To i tak już postanowione.

- A to niby kiedy? - Spojrzała na niego mrużąc oczy.

- Trzy godziny temu, kiedy przysięgłaś przestać ze mną walczyć.

- Nie pamiętam takiej rozmowy.

- No to ci przypomnę. Mamy być razem. Zawsze. Takie padły słowa.

- Twoje czy moje?

- Moje, ale ty się zgodziłaś. Jak mogę cię zabrać w podróż poślubną na Hawaje, jeżeli nie powiesz tak?

- W podróż poślubną? - powtórzyła. - Na to też się zgodziłam? W takim razie chyba byłam bardziej nieprzytomna, niż mi się wydawało.

- Na pewno bardziej rozsądna niż zwykle.

- Frank, nie mogę wyjść za mąż i pojechać na Hawaje. Muszę czekać tutaj.

- Na wyniki badań. Co za problem? Mogą dać nam telefonicznie znać na Hawaje. Przecież minęła już epoka tam-tamów.

- Ale i tak nie mogę. Nie mogę wyjść za ciebie, póki nie będę miała pewności.

Pomachał jej przed nosem biletami.

- Są bezzwrotne. Na jutro. Jedziemy, szanowna pani. Nawet jeżeli będę musiał zarzucić cię na plecy i tak wnieść do samolotu. Musisz się oderwać, musisz wypocząć. I ja tego dopilnuję. A jeżeli chcesz brać ślub po podróży poślubnej, to możemy o tym pogadać. Choć to troszkę dziwne.

- Chcesz najpierw pojechać w podróż poślubną? - Patrzyła na niego z uwagą.

- Nie chcę załatwiać tego w tej kolejności, ale gdybyś ty tak wolała, mogę pójść na kompromis. Tylko dlatego, byś się przekonała, jaki jestem wspaniały.

- Oczywiście, że jesteś wspaniały. - Poglaskała go ręką po policzku. - Każda kobieta byłaby dumna, że może za ciebie wyjść.

- Nie myślę o żadnych innych kobietach. Chcę ciebie i dopnę swego.

- Zmuszając mnie?

- To szkoła mistrzów i ekspertów. - Uśmiechnął się. Jenny zorientowała się, że jej własna taktyka wróciła jak bumerang.

Burzyła się przeciwko poślubieniu Franka, przeciwko tej idiotycznej podróży, którą zaplanował bez jej wiedzy, lecz mimo to trudno jej było zaprzeczyć, że Hawaje z Frankiem to coś absolutnie wymarzonego. Czy postąpi samolubnie, jeżeli pojedzie z nim? Czy to okrutne zaczynać coś, czego może nie będą mogli dokończyć?

- Będziemy tak żyć, jakby każdy dzień był jedynym przypadającym nam w udziale - odezwał się czytając w jej myślach. - Nie damy się wciągnąć w pułapkę „a jeżeli”. Nie chcę, by którekolwiek z nas obudziło się pewnego ranka i zdało sobie sprawę, że właściwie wszystkiego żałuje.

Ucałował ją tak, że zabrakło jej powietrza. Zmysły pomogły jej po chwili zapomnieć o wszystkich wątpliwościach i uniosła się tak wysoko jak tęczowo barwne balony.

- Pojadę - powiedziała w końcu, odzyskując oddech. Może to niewłaściwe, może samolubne, ale tak bardzo chciała przeżyć jeszcze kilka dni jak w najcudowniejszym śnie.

Uśmiechnął się triumfalnie.

- A ślub?

- Nie za dużo naraz - poprosiła. - Nie mogę teraz więcej.

- Dobrze, nie za dużo naraz. Zaczniemy od nietypowej podróży poślubnej.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny później znajdowali się już na plaży w Maui. Wiał orzeźwiający wiatr pachnący oceanem, a słońce pieściło ich podobnie uwodzicielsko, jak Frank Jenny. Przez trzy dni odpoczywali, pływali i kochali się słodko i czule. Rozmowy o przyszłości były zakazane, liczyło się tylko tu i teraz, dotyk, namiętność, radość bycia razem. Jenny czuła się zdrowsza, bardziej pełna życia i zakochana niż kiedykolwiek.

Kiedy czwartego dnia weszli w pewnej chwili do swojego domku, paliło się czerwone światełko oznaczające, że w

recepcji czeka na nich wiadomość. Jenny krew odpłynęła z mózgu, ugięły się pod nią nogi. W końcu zebrała się w sobie i zadzwoniła do recepcjonistki.

Kiedy ta odczytała nazwisko lekarza i jego numer w San Francisco, Jenny instynktownie chwyciła Franka za rękę. Podeszedł, stanął za nią i objął ją w pól, tuląc całym ciałem. Chodziło nie tylko o jej własne życie, lecz o ich wspólną przyszłość.

- Kocham cię, Jenny - szepnął szybko. - Wyjdź za mnie. Powiedz „tak”.

Odwróciła się do niego, spojrzała mu w oczy. Serce biło jej jak młotem. Och, jakże pragnęła powiedzieć „tak”, jakże pragnęła wierzyć, że zaistnieje przyszłość, lecz nie mogła. To nie będzie fair.

- Jeszcze nie mogę ci odpowiedzieć - szepnęła drżącymi wargami.

- Chcę to ustalić, zanim zadzwonisz. Nie chcę, żeby istniały jakiegokolwiek wątpliwości. Ja proszę, bo cię kocham. Czekam na odpowiedź zgodną z tym, co czujesz. Powiedz mi, kochasz mnie?

Chciała postąpić w sposób właściwy, czyli zaprzeczyć, lecz nie potrafiła.

- Nad życie.

- A więc znamy już naszą odpowiedź, prawda?

- Frank, jesteś pewien, absolutnie pewien? - Musnęła go wargami, uśmiechnęła się filuternie.

- Absolutnie. W zdrowiu i chorobie.

Mogła to przekonanie wyczytać w jego oczach, w jego głosie, w jego dotyku.

- No to chyba rzeczywiście znamy już naszą odpowiedź. Wyjdę za ciebie.

Przytulił ją jeszcze mocniej, chciał wzmocnić ją swoją własną siłą.

- A teraz zadzwoń.

Kiedy w słuchawce usłyszała głos pielęgniarki, z trudem wymówiła nawet swoje nazwisko. Głos jej drżał, lecz Frank i ich wspólne postanowienie dodawało jej odwagi.

- Jenny - usłyszała głos doktora Hadleya - mamy twoje wyniki.

- I co?

- Wszystko wygląda jak najlepiej.

- Wszystko? - spytała z nadzieją. Przepełniała ją radość, świeciło słońce.

- Ani śladu nawrotu. Za rok musimy powtórzyć badania, ale wszystko wygląda optymistycznie.

- Dziękuję - szepnęła i spojrzała Frankowi w oczy. - Jeszcze tylko rok do ostatecznej diagnozy. Rok. Trudno zrozumieć, ile to dla mnie znaczy.

- Dla nas obojga - szepnął cichuteńko Frank. Wziął z jej ręki słuchawkę i odłożył na widełki.

Pocałował ją. Błogość, radość, niewypowiedziana euforia.

Mieli perspektywy, naprawdę mieli perspektywy, myślała, kiedy rozpinał jej plażową narzutkę. Cienki materiał zaplątał się, nie chciał ustąpić, Frank więc jednym ruchem zerwał go z Jenny i odrzucił. Pośpiech, żarliwość, narastające pragnienie. Kiedy ściągnął z niej kostium kąpielowy, nie myślała o tym, że zrobił to dość obcesowo, lecz o tym, że wołałaby jeszcze szybciej.

Dotknął ustami jej piersi i przeszył ją dreszcz podniecenia. Już nic nie wiedziała, nic się nie liczyło. Porwał ich wir, czar, magia oddania. Kiedy uniósł głowę, by popatrzeć na nią, na to, jak jest jej dobrze, wygięła się w łuk, przyciągnęła go jeszcze bliżej pragnąc, by to zespolenie trwało po wsze czasy. Odważne pieszczoty rozpalały ją, kazały czuć się prawdziwą kobietą. Dotknął jej blizny, chwycił ją za rękę i patrząc w



oczy przesunęła ją gdzie indziej, tam, gdzie odczuwać mogła pod jej dotykiem uniesienie nie mające końca.

Jedno doznanie zastępowało drugie, jeszcze cudowniejsze. Jej ciało pragnęło tego i Frank dawał, kochał ją całkowicie w sposób pozbawiony egoizmu. Wciąż potwierdzał głębię swojego przekonania, a w Jenny poruszało to najgłębsze pragnienia.

Całował ją aż do utraty zmysłów. Pieścił tak, że czułość dotyku zaspokajała najśmielsze marzenia. Patrzył na nią płonącymi oczami.

Nadzy i spragnieni siebie, wili się wśród splątanych prześcieradeł, spoceni, porwani pożądaniem.

- Kocham cię - szepnął Frank, nagle zamierając nad nią bliski szaleństwa, pełen oczekiwania. - Kocham cię, Jenny.

- Nie bardziej niż ja ciebie.

Ciała ich w końcu zespolił chaotyczny rytm, znajomy od początków stworzenia kobiety i mężczyzny.

Jenny upajała się szorstką i aksamitną skórą, zapachem soli morskiej, słodkiego powietrza, smakiem jego ust, bólem, który odczuwało całe jej ciało w oczekiwaniu spełnienia, aż w końcu wsunął się w nią, wypełnił, przerósł wszelkie jej marzenia, potwierdził, na ile to może być radosne i piękne.

Pobrali się nazajutrz na plaży. Miała na sobie hawajską suknię ślubną, a on niemożliwie jaskrawą koszulę. We włosy wpięła jasnożółty kwiat, w rękę trzymała bukiet z orchidei. Kiedy składali sobie przysięgę, słowa z trudnością przechodziły jej przez gardło, lecz w głębi serca powtarzała je łatwo i z przekonaniem.

Po krótkiej uroczystości znaleźli się sami, szampan musował im w głowach, byli upojeni szczęściem i namiętnością.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że będziemy to musieli powtórzyć w San Francisco? - spytał.

- Ze względu na twoją rodzinę?
- Zgadłaś. Ale to teraz jest też twoja rodzina. Nigdy o tym nie zapomnij.
- Nie uważasz, że mając tylu synów twoja mama pogodziłaby się z tym, że nie była na ślubie jednego? Moim rodzicom wystarczy, że powiadomię ich przez telefon.
- Na pewno by się nie pogodziła. Byłaby przekonana, że żyjemy w grzechu. Musi usłyszeć przysięgę małżeńską.
- Może to być nawet całkiem zabawne - zażartowała przysuwając się do niego. - A poza tym, może pomóc w różnych decyzjach, kiedy zapanuje stabilizacja i nuda.
- Nigdy nie zapanuje stabilizacja i nuda - odparł groźnie. - Zresztą mama na pewno by się do nas wprowadziła, by dopilnować, żebyśmy podjęli właściwą decyzję.
- W takim razie dzwoń już teraz i zamawiaj kolejkę w kościele. Nie mam zamiaru znosić tego nawet przez jedną noc.
- Przysięgam ci, Jennifer Michaels Chambers, że już nigdy się nie rozstaniemy. Nigdy.